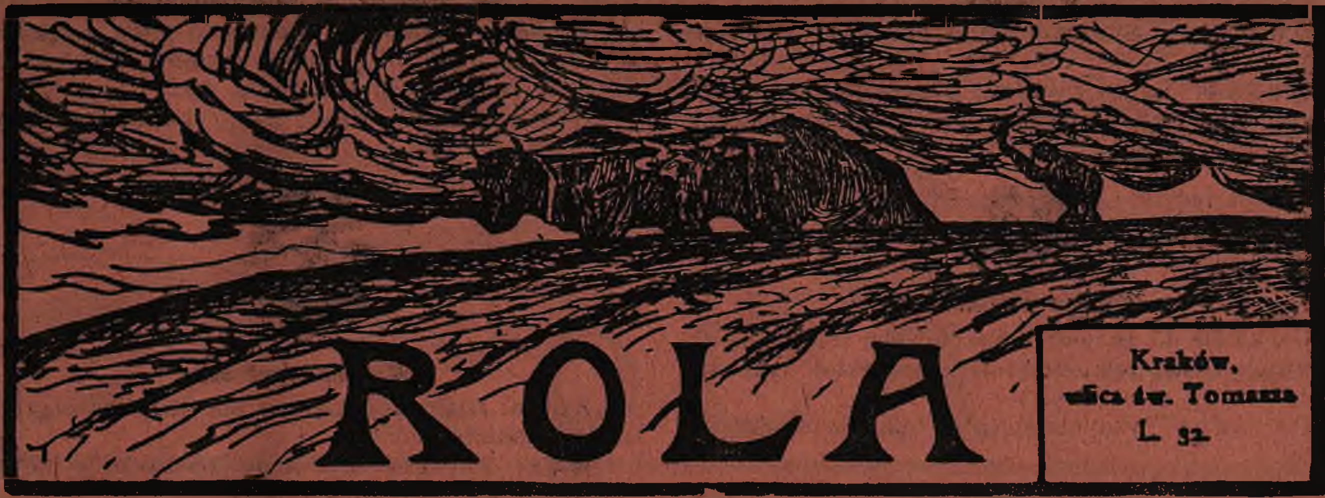
Numer 51. Należ. poczt. opł. gotówką. Dnia 20 Grudnia 1931



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Numera zaległe od Nowego Roku posiadamy w zapasie.

W szkole.

Profesor: Syn pani ma stopnie same złe z geografji.

Matka: Na co mu tam geografja, panie profesorze, my i tak nie mamy pieniędzy na podróżowanie.

Doktór-moralista.

Doktór do pacjenta: Na chorobę trzeba się zapatrywać chłodniej, obojętniej, poniekąd lekceważąco!...

Pacjent (wzdychając): O tak, zwłaszcza na cudzą!



U zegarmistrza.

Maciejowa przynosi do zegarmistrza wahadło od zegara i prosi o zreperowanie.

— No dobrze, ale proszę przynieść cały zegar.

— A to poco? Przecież zegar jest dobry, tylko „cykacz“ nie chce chodzić.

W szkole.

— Jak się nazywa człowiek, który cały dzień siedzi w restauracji

— Restaurator, proszę pana psora.

Na obiedzie u Nowobogackich.

Profesor archeologji, siedząc u boku gospodyni: Wykopałem dziś urnę, którą wypalił człowiek pierwotny przed sześciu tysiącami lat.

Nowobogacka: Tak, tak, panie profesorze, czas leci.



Wytłómaczył się.

Żona: Dlaczego oglądasz się na ulicy ciągle za innemi kobietami?

Mąż: Porównywam moja kochana, o ile one wszystkie brzydsze są od ciebie.

Gapa.

Gość: Czy mama w domu?

Staś: Nie, mama wyszła.

Gość: A kiedy wróci?

Staś (woła do mieszkania): Mamo, co mam teraz powiedzieć?

W koszarach.

Kapral: Szeregowy Antkowiak, kiedy żołnierza chowają z honorami wojskowemi?

Szeregowy: Jak umrze, panie kapral.

Numer 51. Rok XIV. Kraków, dnia 20 Grudnia 1931.

ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1931: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. — Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy. Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.381 Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868.

Redakcja do Czytelników

Z następnym numerem kończymy 14 rok wydawnictwa »Roli«. Mamy więc poza sobą piękny kawał czasu, w którym służyliśmy według naszej najlepszej wiedzy i woli naszym Czytelnikom, niosąc im zdrowe ziarno nauki i rozrywki. I zapewne każdy nam przyzna, że potrafiliśmy zadowolić Przyjaciół naszych niemal pod każdym względem. „Rola" bowiem dała w tym czasie kilkadziesiąt pięknych powieści, setki krótszych powiastek, opowiadań, legend, humoresek i tysiące wiadomości kronikarskich. „Rola" starała się, pouczając, bawić, a bawiąc, pouczać. I jak mamy to głębokie przekonanie, zadanie swe spełniła w zupełności.

Miała też „Rola" i zadanie drugie: oto dawanie możności popróbowania swych sił na polu literackiem młodym talentom. I to drugie zadanie spełniła i spełnia, gdyż wielu z tych, którzy na jej łamach próbowali swych sił, dziś pracuje na szerszej arenie literackiej.

„Rola", głosząc przy każdej sposobności miłość Ojczyzny, hartowała młode umysły tych, którzy czasu wielkiej wojny stanęli w obronie swej ziemi i dali za nią krew swoją i życie swoje.

Wkrótce rozpocznie „Rola" piętnasty rok swego istnienia. Wierna swojemu powołaniu będzie nadal kroczyła po tej drodze, jaką sobie wytknęła. Ale, aby spełniła swój cel, potrzeba jej poparcia. Na poparcie możnych tego świata nie liczy, gdyż ci mają pieniądze na wszystko inne, ale brak im grosza na popieranie zdrowej kultury narodowej. Nie zwracamy się więc do nich o poparcie i na nie nie liczymy. Idąc jednak w pracy naszej o własnych siłach i pracując dla dobra tych rzesz olbrzymich, które nieraz od ust sobie odejmują, aby zasilić swego ducha, do tych rzesz szarych zwracamy się o pomoc. Nie prosimy o żadne dary na fundusz prasowy, jak to czynią inne wydawnictwa, ale prosimy o poparcie moralne. Niech każdy z naszych Przyjaciół nietylko odnowi sam prenumeratę na rok przyszły, ale niech także postara się o zjednanie choćby tylko jednego nowego prenumeratora. A nie jest to rzecz znów tak trudna. Wiemy bowiem dobrze, że „Rola" ma setki tysięcy zwolenników i czytelników, wiemy, że gdy przyjdzie do jakiejś wioski, to ją całą niemal okrąży, aby poniszczona i poplamiona znów powróciła do jej prawego właściciela. Wzięcie ma ogromne, ale nie idzie ono równomiernie z liczbą prenumeratorów. Otóż gdy nam kto chce pomóc, niech fakt ten weźmie pod uwagę. Tym, którzy tak chętnie czytają cudzą „Rolę", niech pożyczy do przeczytania jeden lub dwa numera, a jeżeli chcą dalej czytać, niech ich zachęci, aby sobie na własność „Rolę" zaprenumerowali. Nie będą oni wówczas zdani na łaskę cudzą, ale będą mieli sami dla siebie rzecz cenną, którą będą mogli pozostawić w spuściźnie swoim następcom.

Wprawdzie czasy teraz są ciężkie, ale znowu nie tak ciężkie, aby nie móc zdobyć się na tak skromny wydatek, jakim jest prenumerata „Roli". I tu właśnie można obserwować ciekawy fakt, że niejednokrotnie ludzie biedniejsi na ten wydatek się zdobywają, a bogatsi sknerzą, woląc raczej darmochą od sąsiada ducha swojego pożywić. A „Rola" nie jest znów tak droga, gdyż jeden numer kosztuje mniej, niż kieliszek lichej wódki. Jest ona najtańszem pismem, gdyż za dwanaście złotych prenumeraty rocznie daje 52 numery, każdy o 20 stronach druku, czyli że za niewielką stosunkowo cenę można mieć olbrzymie dzieło, obejmujące przeszło 1000 stron dużego formatu.

Przez powiększenie się liczby prenumeratorów wzmogą się fundusze naszego wydawnictwa, a ma-

jąc więcej pieniędzy, będziemy mogli coraz bardziej ulepszać „Rolę“. Kto więc stara się o powiększenie liczby prenumeratorów, ten działa dla własnej korzyści, gdyż dostarcza nam środków do ulepszenia naszego wydawnictwa.

Tak, jak dotychczas, i w roku przyszłym będziemy zamieszczali w każdym numerze dwie dłuższe powieści. Jedną z nich, p. t. „Stłumione echa“, pióra p. Marji Waller, już rozpoczęliśmy w numerze 49. Nowi prenumeratorzy będą mogli nabyć początkowe numery po zniżonej cenie, ponadto krótkie streszczenie jej początku damy w pierwszym numerze „Roli“ z 1932 roku. W Nr. 1 „Roli“ rozpoczniemy druk drugiej powieści, specjalnie dla „Roli“ napisanej, przez utalentowanego młodego autora p. Franciszka Hornika p. t. „Dziwy życia“. Będzie to utwór o niesamowitej, a wysoce zajmującej treści. Autor opisuje w niej stylem barwnym dzieje tajemniczej topielicy, którą znaleziono w nurtach rzeki pod Myślenicami. Młody lekarz, Brutanek, oczarowany urodą niezwykłej dziewicy, dąży do wykrycia niesamowitej tajemnicy, dochodząc do nieoczekiwanych rezultatów. Treść powieści, utrzymująca w napięciu uwagę czytelnika od początku do końca, będą uzmysławiać liczne ilustracje, specjalnie wykonane przez naszego rysownika.

Oprócz tych dwóch dłuższych powieści mamy przygotowany cały zapas bardzo ładnych krótszych powiastek, opowiadań, klechd, baśni, legend, humoresek i t. p., które będziemy zamieszczać w każdym numerze.

Tak zajmujące wielu naszych Czytelników „Podróże po dalekich krajach“, będziemy zamieszczali i nadal w każdym numerze, opisując w nich ciekawości z całego świata, przyozdabiane licznemi obrazkami.

W „Poradniku gospodarczym“ będziemy podawali rady pszczelarskie, sadownicze, rolnicze, o hodowli bydła i koni, oraz drobiu, dalej wskazówki pielęgnowania roślin wazonikowych i t. p.

W rubryce „Rzeczy ciekawe“ będziemy nadal zamieszczali opisy najrozmaitszych osobliwości, jakie można spotkać na szerokim świecie.

Obszerna kronika przynosić będzie najświeższe zdarzenia nietylko z Polski, ale i z innych krajów, tak europejskich, jak i zamorskich.

Dział zagadek da miłośnikom tej rozrywki możność gimnastyki umysłowej, która wyrabia tężyznę myśli ludzkiej.

Wreszcie Maciek Bzdura będzie kontynuował nadal swoje gadania, wzbudzając u niektórych wesołość, u innych bezsilny gniew.

Od polityki będziemy się i nadal trzymali zdaleka, gdyż wiemy, że zbytnie rozpolitykowanie narodu nie wychodzi na jego korzyść, ale owszem szkodę mu przynosi. Nie wyklucza to jednak, że o bardziej interesujących zdarzeniach politycznych będziemy dawali szczegółowe informacje, unikając jednak nieuzasadnionego zaczepiania tak stronnictw politycznych, jak i poszczególnych osób, pomni tej zasady, że zgoda buduje, a niezgoda rujnuje.

MARJA WALLER.

„Stłumione echa“.

Powieść historyczna. (Przedruk wzbroniony)

— Na, weź i to! — wołał wzruszony Bolko, podając mu pozostały chleb i kiełbasę.

— Niech cię Bóg błogosławi synu, za tę miłość do macierzy — szepnął wzruszony kapłan.

Chłopak zawinął odłożoną kaczkę w liście, to samo zrobił z kiełbasą i chlebem i włożył je do wyłożonego kamieniami dołu, służącego za piec. Dół nakrył kamieniami, a na wierzchu ułożył skrzyżowane gałązki jodłowe.

— Będzie wiedzieć, że coś tu schowałem — mruknął do Bolka, który stał obok.

Podróżni, napoiwszy konie, zabierali się do odjazdu. Uradzili, że Zbilut siędzie za Bolkiem. Opóźni to nieco podróż, ale innej rady nie było. Zbilut usadowił się i zbierał się z wielką nieśmiałością, aby wypytać coś nie coś o ojca, gdy nagle dobiegł do ich uszu stłumiony głos rogu, urywany, jękliwy, niby żałosne wołanie. Zbilut wsłuchał się pilnie.

— Dziad zwołuje na naradę. Coś nadzwyczajnego musiało się wydarzyć — rzekł po chwili. — A może was ktoś widział i doniósł? — dodał trwożnie.

— Przecież od niego wracamy! — rzekł poważnie kapłan.

— Jakto? byliście w naszej osadzie? Na Triglawskiej górze? I żyjecie — wołał zdumiony Zbilut.

— No jakże, byliśmy, a bo co? — pytał Bolko.

— Chyba czary — mruknął. — Dziad ośm wilków w osadzie hoduje, w osobnej zagrodzie je trzyma, surowem mięsem co dnia karmi, mówiąc, że książęcych posłów niemi przywita. Ha, ha, ha! a to wam się udało! Co dnia pamiętał, a gdy przyszedł czas, zapomniał lub stchórzył.

Dreszcz przerażenia przeszedł obu wysłańców. Cudem uniknęli okropnej śmierci. Jechali długą chwilę, interpretując sobie rozmaicie ten wypadek. Rozmowa z powodu niewygodnego położenia obu młodych ciągła się urywanie, ale nie milkła.

— A ociec dawno między wami? — pytał Zbilut.

— Ano to było tak. Jechaliśmy z księciem naszym na łowy. Pan nasz miłościwy, jako że zapalczywy bardzo i na grubego zwierza łasy, zapuścił się za ogromnym odyńcem daleko w puszczę. Odyniec, choć farbował silnie, siły miał widać nielada, bo biegł bez odpoczynku, a pan, nie bacząc na nic, za nim. Konie co słabsze ustawały, wreszcie ja tylko zostałem sam. Widziałem, że koń księcia potknął się raz i drugi. „Może być źle“ — myślałem sobie i popędzałem swojego, starając się zbliżyć — ale naprożno. Wreszcie wjechaliśmy na rozległą łąkę, grząską nieco, pełną jam i wykrotów, od ostatniej widać powodzi, koń księcia, choć zmęczony, ale party silnie, wyprzedził odyńca i zatoczywszy łuk, zabiegał mu drogę. Książę gotował się do ulubionego swego ciosu, w którym celował: dzidą w serce. Uspokojony ściągnąłem nieco swoją klacz, gdy wtem koń księcia potknął się silnie i... zwalił się

na bok, przygniatając mu nogę. Zdrętwiałem, włosy stanęły mi dębem — gdyż odyniec pędził wprost na księcia. Byłem tak daleko, że o pomocy nie było mowy! Każda żyłka drżała we mnie z wściekłości, żalu i bezsilności. Jak szalony runąłem naprzód. Nagle zza drzewa, których kilka było rozrzuconych na łące, wysunęła się jakaś biała postać, kilku susami dopadła odyńca i potężnym ciosem nabijanej kamieniami maczugi obaliła go na ziemię. Padł o krok od księcia, tuż obok końskiego pyska. Dopadłem i dokończyłem go mieczem. Następnie z pomocą nieznanego wybawcy wydostaliśmy księcia z pod konia, który złamał przednią łapę. Na szczęście skończyło się na dość silnem zgnieceniu nogi. Książe mimo bólu zwrócił się do wybawcy z podziękowaniem.

— Ktoś jest i skąd?

— Jam Stańko, wnuk Skrybów z Triglawskiej góry. Do księcia o pomoc i opiekę idę! Raczcie miłościwy panie drogę wskazać.

— Jam jest. Życie mi ocaliłeś! Żądaj, czego chcesz, a uczynię ci. Teraz jednak wracamy do grodu. Jutro zaraz sprawę swą mi przedstawisz, teraz gościem mym bądź!

To mówiąc, ujął róg uwieszony u pasa i zatrąbił. Wkrótce nadjechali dworzanie, a dowiedziawszy się o wypadku, otoczyli Stańka, prześcigując się w uprzejmości. Książe dosiadł świeżego rumaka i powoli wróciliśmy do grodu. Wieczorem jednak ociec twój zaniemógł ciężko. Stary medyk księcia, przywołany natychmiast, mówił: „Wyczerpany jest strasznie, widać, że odbył daleką, uciążliwą drogę. Z trudów, niedostatku i przesilenia, przyszła jakaś zła gorączka". Ociec twój chorzał tydzień. Były takie dnie, że śmierć była tuż, tuż... W gorączce wciąż wołał o ratunek, wspominał dziada i starą, wciąż mówił o Triglawskiej górze, o której nikt z nas nie słyszał. Plótł o gontynie i Swarożycu, o Ludomirze i Zbilucie, z czegośmy poznali jako poganinem był.

Wreszcie pozdrowiał. Gdy tylko myśli zebrał, błagał księcia, aby pozwolił mu zostać przy dworze, nową wiarę przyjąć i sprowadzić żonę i syna z głębi puszczy. Badany i przyciśnięty do muru opowiedział o strasznem życiu i stosunkach panujących u was. Opowiadaniu temu jednak nie dawano na poły wiary. Posądzano go, że gorączka pomieszała mu nieco zmysły. Pan nasz miłosierny pamiętał wprawdzie starego Skrybę, który podczas napadu Niemców utracił syna jedynaka i przez to zdziczał, aż wkońcu znikł gdzieś z wnukiem kilkuletnim, częścią swego rodu i garścią sług wiernych. Zniknęło też wtedy kilku władyków. Pan nasz wysłał nawet na poszukiwania, ale z wysłanych nikt nie wrócił. Nie mógł jednak uwierzyć, aby ten możny, bogaty starzec, któremu dostatków zazdrościli wszyscy, który prawie że nie miał równego sobie za czasów księcia Ziemomysła, żył dziś w takiej nędzy i poniżeniu. Chcąc jednak uczynić zadość prośbie swego wybawcy, rozkazał mi zabrać z dwudziestu doświadczonych ludzi, polecił im przezorność, aby nie zginęli, jak tamci przed laty i dawszy ich Stańkowi, kazał jechać tam, gdzie poprowadzi. O ileby to, co zeznał okazało się choć w części prawdziwem, żądał, by starych doprowadzić do grodu, młodszych zaś pouczyć o wierze naszej świętej, ochrzcić, a wkońcu Stańka wraz z żoną i synem na gród przywieźć. A na naczelnika osady wybrał starego Dowmunta, wiernego panu i oddanego druha. Krzewicielem zaś wiary św. miał być ten oto kapłan — kończył, na towarzysza wskazując. — Choć sam Niemiec, ale z matki Polki gorące umiłowanie do kraju naszego wziął i za braci nas trzyma. On to i ojca twego nowej wiary uczy. Powiedziałem ci wszystko. Dodam to tylko chyba, że o wschodzie słońca rozstaliśmy się z ojcem twym i resztą wysłanych w tem miejscu, gdzie rozłożyliśmy się wczoraj jeszcze obozem. Sami ruszyliśmy na zwiady.

— Ale jak trafiliście bez przewodnika?

Wtedy Bolko opowiedział mu ranną przygodę na polanie.

— Mieliśmy już wracać i gdyby nie owe dzierlatki, nie bylibyśmy uwierzyli, że ta okolica jest zamieszkała — kończył.

— Ano pewno. Bo my jak zwierzęta żyjem, ich ścieżkami się przesuwamy, śladu nie czyniąc. Lasu nie karczujemy, bo sił i ludzi brak, nędzne kawałki pola, dawniej bujnemi kłosami zbóż szumiące, coraz bardziej łysieją, zwierzyny coraz mniej, coraz głębiej trzeba zapuszczać się w knieje niedostępne, aby dzika lub tura ubić. A stary żadnych ulepszeń wprowadzać nie chce, mówiąc: „Niemieckie wymysły". Tak my dalej kamiennemi nożami chleb krajemy i skórę garbujemy, kamiennemi siekierami i młotami drzewa obrabiamy. Ledwo conie który kawałek żelaza chowa, aby ognia ukrzesać, gdyby trza było! Tamten rok ciężki był. Deszcze lały, od Kupały, zboże zrosło na pniu, tak my już od Godów chleba nie mieli. Zimą łowy tylko żywności dostarczały, aż wielu obrzydliwych jakichś wrzodów na ciele dostało. Nawet mleka dla niemowląt brakowało, bo z braku paszy i bydło ginęło. Ociec ścierpieć nie mógł i poszedł... Zażył on biedy wszelakiej, ale i nam gorzko i ciężko było!

Tak użalał się młody, nie mówiąc o tem, jak nieraz od ust sobie odejmował, macierz ratując i bliskich. Dumne i szlachetne chłopię „na ambit" wzięło, ojca chcąc zastąpić. I zdzierżył. Bez wstydu przed nim stanie, hańby ni sobie ni jemu nie czyniąc.

Bolko opowiadał dalsze swe przygody, a Zbilut uzupełniał jego opowiadanie trafnemi uwagami.

— Dziad, choć stary, żelazną ręką wszystko trzyma. Jarucha jednak mocarniejsza jeszcze, bo wszystko wiedząca — szeptał trwożliwie. — Lekarka sławna, ale i mściwa okrutnie. Lękają się jej wszyscy, a dziad poważa ją i słucha jej aż dziw!

Ukośne promienie złociły już tylko same szczyty iglastych olbrzymów, głaszcząc je niby subtelną pieszczotą, gdy znajomi nasi zbliżali się do celu podróży. Delikatne złote pyły drżały nad lasem, sypiąc się niby mak senny na popielatawo-srebrzyste sosny i ciemne, aż czarne świerki. Ruda kitka wiewiórki powiewała nad figlarną jej główką, niby pióro średniowiecznego rycerza, a z pod niej błyskały czarne powieki ocząt, przekornych a wesołych. Ptaszęta wyfrunęły hen w górę w pogoni za ostatniemi blaskami. Jeszcze jeden oblot, ostatni, a spoczną drobne skrzydełka, tuląc się do pnia obrońcy, drobne dzióbki umilkną na krótką noc, aby równo ze świtem wszcząć znów radosny hymn powitania.

Dołem odwieczny pałac przyrody tonął już w zmroku. Cienie mgliste nadciągały, z wilgotnych niżów podnosiły się coraz wyżej, a w tajemniczych głębiach knieji budziło się życie. Zaczynała się codzienna walka o byt, żywiołowa, namiętna, pełna brutalnej siły, podstępu i bezsilnej wściekłości. Już potężnym rykiem dali znać o sobie wszechwładni panowie puszczy: tur i niedźwiedź, już błyskały w gęstwienie gałęzi fosforyczne oczy rysia, lub wilk, karesowany zbyt miłośnie przez czułą mał-

żonkę, zaskomlał cicho. Głosów przybywało. Gwar czynił się coraz większy. Gdzieś w głębi żałośnie, niby skrzywdzone dziecię, nawoływała sarna, przyszłego pana i władcę, a w cały chór wdarł się ponury głos puszczyka, wrzeszczącego gdzieś z wnętrza spróchniałego drzewa swoje niesamowite: Uhu...

Gdy ostatnie blaski słońca zatonęły za zwartą linją lasu, wyjechali podróżni na obszerną łąkę, służącą za obozowisko. Koło rozpalonych ognisk kręciło się kilka postaci, inni siedzieli, rozprawiając. Na widok zbliżających się kilku niecierpliwszych dosiadło konia, pragnąc wcześniej od innych zaspokoić ciekawość. W bezładzie pytań i odpowiedzi zadźwięczały dwa mocne okrzyki:

— Zbilut!

— Ociec!

I już, zsunąwszy się z konia, był młody u kolan ojca, który, zeskoczywszy ze swego, pochwycił go, tuląc w uścisku.

Szli wolno, szukając oczyma zmian po sobie, nie mogąc się nacieszyć. Powikłane pytania i odpowiedzi, oni tylko zrozumieć mogli.

— A macierz? — zapytał wkońcu Stańko.

— Dziad jej starego Leliwę za męża wyznaczył, bo doradcę chce mieć dla siebie, a opiekuna dla mnie. W Kupałę do chaty swej ma ją zawieźć! Oczy wypłakuje, cieniem się stała, a stary ani spojrzy! Jużem dziś zamyślał do Lisiej groty ją wieść, gdy Bóg zdarzył waszych.

Tymczasem tamci usiedli już przy ognisku. Bolko opowiadał, żywo gestykulując. Kapłan zaś milczał zamyślony, prostując tylko kiedy niekiedy opowiadanie Bolka, gdy tenże w zapale krasnomówczym chciał sprawę nieco przekoloryzować. Po niejakim czasie znalazł się i Stańko, który, widząc zmęczenie syna, oddał go w ręce starego Wojciecha, któremu polecił, by odprowadził go do skleconego na prędce szałasu i wskazał mu miejsce na spoczynek.

— O! i Stańko już tu! A gdzie to wasz Zbilut? — wołał Bolko.

— Spać go wysłałem. Zdrożon bardzo!

— Ano chcielim go wypytać niejedno!

— Pytajcie mnie. Rzekł mi, co trza było!

— Więc jak zrobimy? radźcie! Wolą Pana Miłościwego jest, abyśmy łagodnie namówili ich do porzucenia starych błędów. A tu jak widać łagodnością nic nie wskóramy! Jak to zrobić, aby i woli Pana nie naruszyć i sprawę dobrze poprowadzić!?

— Rada znalazłaby się i to nietrudna do wykonania! Nie wszyscy oni Swarożycowi radzi, bo głodem i nędzą za wierną służbę płaci. Wielu by się znalazło, coby do nas przyszli, lecz sposobu nie mają, a i straszno, bo odstępców śmierć czeka. Mimo wszystko jednak dziad boi się widać, bo całą osadę na wymarcie skazuje! niechętnie pozwala na kojarzenie się młodych, a dziewki co piękniejsze, na służbę do gontyny oddaje. Trzebaby jednemu tam iść i niezadowolonych na naszą stronę zjednać. Oboje zaś starych i resztę gorliwszych możnaby z ich pomocą ująć i do księcia powieźć. Ten zaś możeby ich złagodzić umiał!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jak powstała zima?

(Legenda).

Było to dawno, bardzo dawno temu. Na świecie panowała wieczna wiosna. Słowiki po zielonych gajach zawodziły upajające trele. Skowronki wzbijały się w górę, oddając cześć Najwyższemu. Ludziom wtenczas powodziło się bardzo dobrze, ponieważ oddawali Bogu ofiary z płodów ziemnych, i modlitwą gorącą dziękowali za doznawane łaski.

Żył podówczas na ziemi pewien człowiek, któremu było wszystkiego zamało. Nie dziękował Panu Bogu za nic, ino ciągle prosił o coraz to nowe łaski.

Pan Bóg do jakiegoś czasu tolerował zachcianki owego człowieka. Ale gdy razu pewnego zachciało mu się panować nad całym światem, aże był to człek nienasycony, chytry i zły, który nikomu nic nie darował i nikomu nie przebaczał, najdrobniejsze przewinienia karał śmiercią głodową, to też Pan Bóg zapałał gniewem do niego i obiecał go srogo ukarać, o ile się nie poprawi.

W tym czasie djabeł nie miał szczęścia do ludzi. Podsłuchał rozmowę Pana Boga z owym człowiekiem, a widząc podatną naturę do złych celów, postanowił go sobie zjednać. Razu pewnego napotkał go w bardzo złym humorze, więc postanowił korzystać i zbuntować go przeciw Bogu. Podszedł do niego przeistoczony w wielkiego pana i począł go namawiać do złego. Djabeł mu wskazał złoto, jako podatny grunt do złego. Ludzie zaślepieni złotem, poczęli się kłócić i bić między sobą, zapominając o Bogu i Jego dobrodziejstwach. Poczęły się dziać rzeczy, których dotychczas świat nie widział. Złoto rozpanoszyło pychę i żądzę bogactwa. Piękne ogrody i winnice leżały zaniedbane, powoli tracąc swą siłę rozrodczą. Zaczął panować głód, choć złota było wbród. Zapomnieli ludzie o ofiarach i o Bogu. Dawne wspaniałe świątynie zamienili w przybytek orgji i rozpusty.

Powoli ludzie wybrali sobie fałszywych bogów. W każdym domu oddawali cześć złotym cielcom, prosząc ich o złotą mamonę. Kradzieże i morderstwa rabunkowe nie miały końca. Przepych i zbytek rósł na każdym kroku.

W tym czasie zesłał Pan Bóg na ziemię człowieka, aby pobudził ludzi do pokuty. Ale próżne były jego nawoływania, nikt go nie słuchał, wyśmiewali się z niego, i wreszcie pewnego poranku znaleźli go ludzie podstępnie zabitego. Ciało jego wystawiono na widok publiczny. A kto chciał, kobiety i dzieci, brali go sobie za cel, a kawałki rozstrzępionego ciała rzucali psom na pożarcie.

Wtenczas Pan Bóg zesłał karę na ludzi. Pewnej nocy, gdy całe olbrzymie miasto oddawało się bluźnierstwom, i orgjom rozbujałej, miłosnej rozpusty, niebo całe pokryły nieprzeniknione ciemności. Rozszalał się straszny wicher, niosąc tumany śniegu i igły lodowe. W krótkim czasie urodzajne pola i niwy, wspaniałe winnice i piękne ogrody skryły się pod całunem białej śmierci. Ludzie rozszaleni, rozbestwieni i pijani pozasypiali. Jaki był ich strach po przebudzeniu, gdy miast złotych promieni słońca i pięknych zielonych winnic, zobaczyli wszystko pokryte jakimś nieznanym zimnym białym puchem. Noc objawiła się jasna, lecz straszliwym mrozem ścinała wodę i krew w żyłach. Ludzie wspomnieli o Bogu, zaczęli czynić pokutę, i żarliwą modlitwą, przepraszając Boga, prosili o oddalenie klęski.

Pan Bóg wysłuchał próśb i po kilku miesiącach głodu i zimna zapanowała piękna wiosna. Z dawniej licznego miasta zostało przy życiu zaledwie kilkadziesiąt osób. Naród się poprawił, a Pan Bóg na przypomnienie strasznej kary, zsyła co rok w tym czasie śnieg i mróz.

Józef Kunda.

Flisacy na Wiśle.



Dzisiaj dla człowieka nawet jazda pociągiem pospiesznym wydaje się za powolna. Chciałby on niemal równo z myślą przenosić się z miejsca na miejsce i znowu, jak myśl, powracać do miejsca stałego pobytu. Ciągle nam się spieszy, chcemy wykorzystać każdą chwilę naszego życia, nim śmierć zamknie nam oczy na wieki. I rzeczywiście samolotem w ciągu kilku godzin możemy przelecieć całą Polskę, możemy pozałatwiać różne interesy u celu naszej podróży i znów w kilka godzin powrócić do zwykłych zajęć.

Pociągi pospieszne, samochody, samoloty, a co najważniejsza dobre drogi przecinające kraj cały, ułatwiają nam nadzwyczaj podróżowanie. — Dawniej było inaczej; nie znano dzisiejszych szybkich środków komunikacyjnych, a jedynie ciężki wóz i silne konie służyły ludziom do przenoszenia się z miejsca na miejsce. Ale każda podróż była nadzwyczaj utrudniona, gdyż drogi były pełne wybojów, kałuż i dziur tak, że nawet silne konie, ciągnące niezbyt wielki ciężar, grzęzły co chwilę i trzeba było wielkiego wysiłku, aby je z tej opresji wybawić. Toteż mieszkańcy okolic, położonych nad rzekami, byli o wiele szczęśliwsi, gdyż wodą na łodziach i tratwach mogli szybko i wygodnie podróżować. Towary przewożono na galarach. Była jednak ta wielka niewygoda, że droga wodna nie dozwalała na żadne zboczenia, ale człowiek musiał kierować się biegiem rzeki i mógł dopływać tylko tam, dokąd rzeka prowadziła.

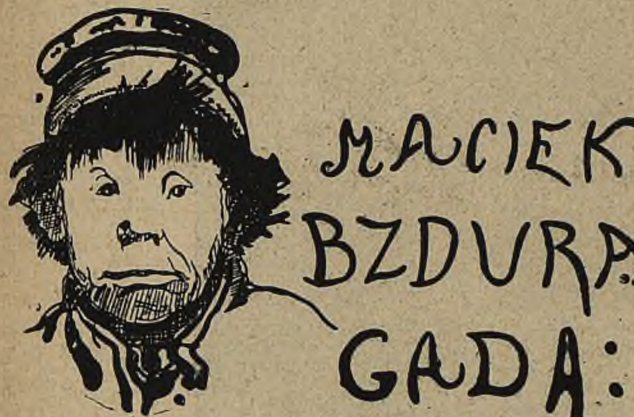
Najbardziej do żeglugi wodnej nadawała się Wisła, jako największa rzeka polska, dlatego też mieszkańcy nadwiślańscy trudnili się od lat dawnych przewożeniem towarów z okolic

nadbrzeżnych do Gdańska, aby stamtąd mogły one popłynąć dalej w świat okrętami. Zwali oni się flisakami, a zawód ich przechodził z ojca na syna.

Taka wyprawa flisacka trwała kilka i kilkanaście tygodni, zależnie od stanu wody w czasie podróży. Gdy woda była większa, to fale jej same niosły galary, a flisacy musieli jeno baczyć, aby nie wpłynęły gdzie na wiry, lub nie uderzyły o brzeg. Toteż musieli znać bardzo dobrze koryto rzeki, po której płynęli. Od czasu do czasu przybijali do brzegu, unieruchomiali galary, a sami na brzegu odpoczywali, gotowali posiłek i kładli się na spoczynek nocny, aby znów świtem wyruszyć w dalszą podróż.

Taki właśnie odpoczynek flisaków widzimy na naszym obrazku.

Gorsza była jednak droga powrotna; tu już nie niosły galaru bystre fale wody, trzeba je było siłą popychać w górę rzeki, a praca to była nadzwyczaj uciążliwa i długotrwała. Ci, którzy spławiali drzewo, dopłynąwszy do kresu, powracali z swej podróży piechotą, która, zależnie od odległości, trwała nieraz miesiącami.



Najbardziej przykrzy się niewinnemu człowiekowi bez baby w świętem jadwiencie. Kiedyindziej to zajmie się człek byle cem, a w jadwiencie to ani na zmiłowanie nima w co pazurów wrazić. Na zwiesnę daje Poniezus to sianie, to sadzenie, to plewienie, to inksą robotę, która da się i bez baby uskutecnić, a w jadwiencie nic. W lecie bywa kosiarka, bywają zniwa, chrzciny, poseliny, w jesieni weseliska, kopanie i znowu siew, a od casu do casu jeden i drugi kitę odwali, to zawse jest jakasik rozrywka i ukontentowanie. A w jadwiencie nic z tego. Roboty pozrabiane, kto miał kopyrtnąć, w jesieni kopyrtnął, a o zeniacce w takiem świętem casie jegomość ani myśleć nie dadzą.

A mnie się to właśnie nie podoba. Na cały rok baby brać się nie opłaci, bo nima casu o niej ciągiem myśleć, ale jagby mozna było tak na sam jadwient, a choćby na całą zimę, toby się prędzej człek na zeniackę uchciwił. Ale jegomość powiadają, ze jak kto chce brać babę, to brać ją musi na wieki wieków amen i kuniec.

Dobrze tak powiadać jegomości. Wiadomo przecie, że jegomość baby nie mają, to skądze oni mogą wiedzieć, jaki to rarytas. Niechby się spytali jakiego babiatego człowieka, toby jem powiedział, ze niektóra kubita to i za parę godzin się uprzykrzy. A im jest właśniejsa, to się prędzej uprzykrzy.

Co do mnie, jakby tak co do cego, to w harendę, choćby i na całą zimę, tobym se wziął jedną, abo i więcej, ale na wiecność, to ani mi się śni. Powiedzcie bowiem sami, coby człek zrobił, jakby taka moja odwiecna baba nie chciała ućciwie ciągnąć małżeńskiego jarzma? Ani to tego nie odsprzeda, ani nie odmieni, ani się człek nie odzeni. Jakby była ino dzirzawa, a baba się nie nadawała, to siudaj, posoko, z mojej rodzonej chałpy, a idź se, gdzie cię twoje ślipia poniesą!

Jagem tak raz gadał na krzcinach u Powrózkowny, to wsiedli na mnie Majcherka z całem ozorem i padają:

— Okrutecnie jesteś przyścipny, źgacu, ale coby się wtedy z wasemi dzieckami stało?

— A coby się miało zrobić? — ja na to. — Cyje dziecka, to tenby se je wziął. A jako juz od wieków jest wiadomo, ze te casy minęły, kiedy to Abraham zrodził Izaaka, a Izaak Jakóba, a Jakób Michała i tak dalej, a teraz zaden chłop ani pająka nie zrodzi, bo ten przywilej przywłascyły se baby, to dziecka nie są chłopowe, ino babine. Baba ma dziecka, toby se je baba zabrała, a reśtę z gospodarki przypadłoby chłopu.

— Ja wiem — padają wtedy Majcherka — ze wam takie urządzenie bardzoby się podobało, ale jest jesce sprawiedliwość na świecie i Poniezus przyciśnionem niewiastom zginąć nie da!

— Ej, nie pletlibyście o przyciśnionych niewiastach i o jakiemsik uciemiężeniu. Baba, jakby zginęła, toby jej ani sukać nie trza było! Wystarcyłoby powiesić ino chłopskie portki na płocie, a zarazby za węchem przyciekła! Baby niby to na chłopów narzykają, ale jak go ftóra ni ma, to se nijakiej rady dać ni moze, ino tyle wyprawia, dopóty za niem goni, póki jakiego takiego oganiaca nie wyśpyra. Baby zmówiły się z jegomościami i jak gadka o chłopie, to go chcą zaraz na wiecność. Ale ja wiem, ze jakby nie mogły na wiecność, toby się ani chybi godziły na temcasem i byłoby dobrze la wszyćkich. Ale to ino źle, ze chłopy dają się brać babom. Jakby się tak wszyscy zmówili i zawiązali towarzystwo wstrzemięźliwości od bab, toby ich mieli pokryjomu tyle, ileby sami chcieli!

To moje gadanie ogromnie się spodobało Kaśce i zaraz się mnie pytała, cy jakby i kubity załozyły towarzystwo wstrzemięźliwości od chłopów, to cyby ich miały tyle, ileby chciały. Powiedziałem jej, zeby popróbowały, to się przekonają, bo ja jesce nie jestem w tych rzecach praktyk, to nie wiem, co i jakby było.

Myśl ta jednak spodobała się Kaśce okrutecnie i postanowiła po Godach zabrać się do załozenia takiego stowarzysenia jawnej wstrzemięźliwości od chłopów, bo powiada, ze moze wtencas choć tajnie i jej się jaki śturkac trafi. Któraby z panienek chciała nalezeć do takiego stowarzysenia, to niech zaraz wpisowe przysyła, aby se Kaśka za uzbierane piniądze mogła choć jaką taką struclę na święta u Mośka kupić.



PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Afryka II.

Jak to zaznaczyliśmy w poprzednim numerze „Roli", jedną z największych rzek afrykańskich jest Niger. Bo tylko dwie są od niej większe, a mianowicie Nil o długości 6.400 km. i Kongo 4.600 km., podczas gdy Niger mierzy „tylko" 4.160 km. Rzeka ta właściwie nie ma żadnej nazwy, gdyż afrykańskie słowo niger, znaczy po polsku rzeka.



Przeprawa murzyńska przez Niger.

Niger wypływa w pobliżu południowo-zachodniego wybrzeża Afryki, niedaleko oceanu Atlantyckiego, lecz nie płynie wprost do niego, gdyż oddzielają go góry Mandango, lecz zdąża wkierunku północno-wschodnim, a następnie zatacza wielki łuk i kieruje się ku południowi do zatoki Gwinejskiej. Wygląda to tak, jakby Niger chciał swemi wodami oblać całą francuską Afrykę zachodnią.

Długie lata badań Afryki obracały się dookoła zagadnień, złączonych z Nigrem. Niejasne wieści dotarły o nim do Europy już w starożytności. Portugalczycy już od XVI wieku znali conajmniej jego ujście. Pierwsze wyprawy Towarzystwa afrykańskiego, prowadzone przez Amerykanina Ledyarda, oraz Anglików: Lucasa i Houghtona, miały na celu zbadanie tej rzeki i skończyły się tragiczną śmiercią tych śmiałych podróżników. Tensam los spotkał ich ziomków: Watta i Winterbooma, którzy na innej drodze starali się zrealizować tensam cel. Dopiero szkocki lekarz, Mungo Park, jeden z najsławniejszych podróżników afrykańskich, dotarł w roku 1796 do poszukiwanego dotąd Nigru i ustalił kierunek jego biegu.

Już niejednokrotnie dało mi się słyszeć mniemanie, że ludy dzikie żyją i kryją się po lasach tak, jak dzikie zwierzęta, otóż mniemanie to jest błędne, gdyż nawet najdziksze ludy żyją gromadnie, tworząc mniejsze lub większe wsi i wioski. Do takich dzikich ludów należą również murzyni afrykańscy nad Nigrem i oni też, jak inne ludy dzikie, posiadają nawet wcale rozległe i ludne wsi. U podnóża gór, na nierównej płaszczyźnie, rozsiane są rozległe wsi, których prawie połowa jest ukryta w zagłębieniach gruntu. Z powodu okrągłych o ostrych dachach domów, wsie przedstawiają widok wojennego obozo-



Targ murzyński w Igbomaju.

wiska. Nikła roślinność, karłowate krzaki, a między tem poczerniałe skały, przedstawiają ponury widok. W wielu miejscach Niger wyrył sobie wśród gór przejścia, które zdają się, jakby były ręką ludzką wyciosane. Zwężone cieśniny przyspieszają bieg rzeki i czynią żeglugę po niej bardzo niebezpieczną.

Na naszym pierwszym obrazku widzimy właśnie taką niebezpieczną przeprawę przez Niger. Oto po burzliwych falach rzeki kilku tubylców wiosłuje łódź z dwoma misjonarzami, siedzącymi pośrodku łodzi. Poza łodzią płyną ich konie, które walczą z bystrym prądem wody. Gdyby ich murzyni nie podtrzymywali za uzdy, niewątpliwie popłynęłyby z falami rzeki.

Na dalszym planie naszego obrazka widzimy ponure wzgórza afrykańskie, okolone nikłą roślinnością, a wśród nich część wioski tamtejszej. Domki te podobne są do dawnych uli, w jakich nasi praojcowie hodowali pszczoły. W tych to domkach mieszkają rodziny murzyńskie, tam się rodzą, tam żyją i tam umierają.

Ciekawe jest wychowywanie dzieci u murzynów. Oto gdy dziecko ma zaledwie trzy dni, już je matka niesie do rzeki, zanurza w wodę po szyję, kładzie je na wznak, trzyma, aby się nie ruszało i raczy je niezbyt miłym napojem. Mały obywatel murzyński, broniąc się, mimowoli pije wodę Nigrową, z dwóch ostateczności, wybierając zło mniejsze. Dzięki też temu dzikiemu, lecz hartownemu wychowaniu, wszyscy mieszkańcy nad brzegiem Nigru stają się zawczasu silnymi wioślarzami.

Szczególniej kobiety i dziewczęta wyróżniają się pod tym względem. Gdy w łodzi znajduje się młoda, dorosła dziewczyna, to z pewnością ona steruje; mężczyźni chętnie oddają kobietom pierwszeństwo w wiosłowaniu.

Murzynki zawładnęły wszystkiem tem, co u nas jest wyłącznym przywilejem mężczyzn: palą tytoń, można powiedzieć, jak stare wiarusy, a pracują bez wytchnienia; do nich należy ciężka praca w polu i niemniej trudny wyrób oliwy i roślinnego masła; co zaś do zaszczytu kierowania łodzią przeciw prądowi, nikt im nie jest w stanie w tem dorównać.

Te męskie prace, włożone na barki kobiet Nigru, ogołacają je ze wszystkiego, co gdzieindziej ich płeć ma czułego i delikatnego. Dwa łachmany chustek brudnych i niezręcznie włożonych, zastępują piękne chusty, któremi się okrywają cywilizowane niewiasty. Są tam jednak i strojnisie; można bowiem tu i ówdzie spotkać murzynki, które noszą na nogach błyszczące z kości słoniowej obrączki, z których każda waży trzy do cztery kilogramy. Strojnisie takie mają nogi spuchnięte, skóra na kostkach jest zdarta, a każde stąpnięcie przyprawia je o ból, ale poddają się chętnie tym dziwacznym wymaganiom mody, jak to zresztą czynią i nasze cywilizowane panie.

Na drugim naszym obrazku widzimy targ murzyński w Igbomaju, który jest jednym z tamtejszych miast krajowych. Jest to zupełnie targ prymitywny, w niczem prawie nie podobny do naszych targów nawet w najlichszej mieścinie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Tajemnica spowiedzi.

Okropne zdarzenie z niedawnych czasów.

Tymczasem żyli Rossa i Józef w największych rozpustach. Rossa popłacił część swych długów; nikt jednak nie domyślał się, że na to służyły pieniądze zamordowanego Branda. Bóg tylko wiedział o tem, że Rossa i Józef po odejściu Branda z Lagen ułożyli krótki plan napaści i zrabowania Branda.

Rossa był człowiekiem bez wszelkiego sumienia, inaczej zaś było z Józefem, który chwilami nie wiedział, co ma począć. Sumienie we dnie i w nocy niepokoiło go ciężkimi wyrzutami, że księdza Walentego, swego największego dobrodzieja, niewinnie wydał na śmierć; że Spowiedzi świętej użył na to, aby jedynemu świadkowi zamknąć usta. Chwilami zupełnie rozpaczał; kilka razy porwał się, aby stanąć przed zwierzchnością i wyznać zbrodnię swoją, lecz w pół drogi wrócił do domu, lękając się zasłużonej kary; czasem uciekał w góry i lasy, szukając w skałach ukrycia przed ludźmi, których widzieć nie chciał, lecz wkrótce opuszczał dzikie kryjówki, ponieważ w samotności sumienie głośniej się odzywało. W rozpaczy upijał się, a Rossa mu zawsze towarzyszył; wogóle rzadko wypuszczał Józefa z oczów, obawiając się, żeby się w pijaństwie przed ludźmi nie wygadał i podejrzenia na nich nie zwrócił. Upiwszy się, leżeli dłuższy czas bez zmysłów, nie wiedząc nic o sobie; po obudzeniu chodzili w góry ubijać pańską zwierzynę. Dawniej kradli i sprzeniewierzali zwierzynę, aby mieć na pijatykę i hulanki, teraz czynili to z nałogu i dla rozrywki, bo im pieniądze Branda jeszcze wystarczały.

Wiedział cały świat o tem zakazanem polowaniu Rossy i Józefa; dozór leśny robił częste obławy na rabusiów, ale wszystkie jego zabiegi były bezskuteczne, ponieważ lud lękając się zemsty, nie zdradzał kryjówek tych łotrów.

Nadleśniczy pragnął przedewszystkiem zdybać Rossa lub Józefa przy kradzieży, bo mu powiadał wewnętrzny głos, że jeden z nich zastrzelił Branda. Nie miał na to najmniejszych dowodów i dlatego nie wyjawiał przed nikim swego podejrzenia, lecz znając doskonale księdza Walentego i żyjąc z nim od dawnych lat w przyjaźni, był gotów każdego czasu przysięgać na niewinność poczciwego przyjaciela swego. Zdawało mu się, że złapawszy jednego z rabusiów, nakłoni go do wyznania prawdy.

Z tą myślą nosił się we dnie i w nocy, ubolewając nad nieszczęściem księdza Walentego.

Pewnego wieczora przyszedł do niego stary węglarz, którego był z roboty oddalił dla jego skłonności do pijaństwa. Należał on do tak zwanych kwartalnych pijaków; minęły czasem trzy miesiące, że ani kropli wódki nie skosztował i najpilniej oddawał się pracy, lecz skoro zaczął służyć wódce, upijał się codziennie po dwa razy, a to trwało 10 do 14 dni, aż wreszcie zachorował. Powstawszy po chorobie, poszedł do Spowiedzi św., odrzekł się gorzałki i tak zaś przez trzy lub cztery miesiące prowadził najporządniejsze życie i pracował pilnie.

Ostatnim razem właśnie był stos drzewa zapalił, gdy go napadła kwartalna choroba pijaństwa, któremu się oddawszy, wcale zapomniał o dymiącym się stosie drzewa, który się zapalił i do szczętu na popiół zgorzał. Ponieważ przez jego winę ponosiło państwo stratę na 30 sążni drzewa, oddalił go nadleśniczy z roboty

— Czego żądacie? roboty dla was niemasz! — odezwał się ostro nadleśniczy.

— Przyszedłem w innym interesie, panie nadleśniczy! Dziś rano leżąc pod szopą karczmarza, podsłuchałem Rossa namawiającego się z Józefem na polowanie na Łysej Górze.

— Czy prawda?

— Szczerą prawdę mówię, panie nadleśniczy; przed wieczorem chcą czatować na zwierzynę na Długiej Łące.

— Jeżeli się sprawdzi twoje doniesienie, dostaniesz hojną nagrodę; możesz się później do mnie zgłosić.

Węglarz odszedł. Nadleśniczy posłał do swych leśniczych i gajowych z rozkazem, aby po południu o godzinie czwartej zeszli się pod troistą sosną i tam na niego czekali. Zaprosił także oficera żandarmów do siebie, donosząc mu, że się gotuje wyprawa na rabusiów.

W naznaczoną godzinę, przyszedłszy na miejsce umówione, które od Łysej Góry było odległe o dobrą milę, znalazł nadleśniczy leśnych, gajowych i oficera z pięciu żandarmami, którym oznajmił, że się spodziewa dziś złapać rabusiów, którzy od trzech lat kradną zwierzynę z niesłychaną chytrością.

— Opatrzcie strzelby w ostre naboje, bo mamy do czynienia z zuchwalcami, którzy bez sumienia gotowi strzelać do nas. Łysą Górę otoczymy ze wszystkich stron, podkradając się ku Długiej Łące; czekajcie, aż złodzieje wystrzelą do zwierzyny, a dopiero potem łapmy ich na świeżym uczynku.

Naznaczywszy każdemu miejsce, z którego miał zbliżać się do Łysej Góry i Długiej Łąki, nadleśniczy poprosił z sobą oficera, który zaś swych żandarmów po jednym przydał leśniczym.

Nie upłynęła godzina, a już cichaczem każdy doszedł do miejsca naznaczonego, ukrywając się w gęstwinie, otaczającej Długą Łąkę.

Gdy słońce zbliżało się ku zachodowi, Rossa i Józef, nie wiedząc nic o straży rozstawionej, stanęli na krańcu Długiej Łąki i zajęli swoje stanowiska, czekając na zwierzynę, która w tym czasie zwykle wychodzi na paszę i do napoju do rzeczki płynącej przez łąkę.

Zaszeleściało w gęstwinie i pokazał się na łące potężny jeleń; ledwie się do rzeki zbliżył, zagrzmiał strzał z lewej strony. Jeleń trafiony w serce, skoczył wysoko w górę, a potem padł na ziemię.

W tej chwili wybiegł z gęstwiny Józef i długim nożem, który miał w cholewie, dobił zwierzynę, którą zaraz rozpłatał, wyrywając z niej wnętrzności i rzucając je do wody.

— Czemuż nie przychodzi? — pomyślał Józef, patrząc ku świerkom, za którymi się Rossa ustawił; w tej chwili zagrzmiał za nim głos:

— Stój! ani się rusz!

Zadrżały pod nim nogi, gdy kilka kroków za sobą spostrzegł nadleśniczego, trzymającego w pogotowiu broń. Cóż robić? Flinta jego leży na ziemi, lecz bez naboju! czy ją schwycić i w ucieczce szukać ratunku?

Gdy sobie tak myśli, padł z przeciwnej strony strzał i zerwał nadleśniczemu z głowy kapelusz.

Korzystając z chwilowego zamieszania Józef, czemprędzej schwycił za flintę, skoczył w gęstwinę i zaopatrzył ją w świeży nabój; toż samo uczynił Rossa na swojem stanowisku; obaj nie myśleli o ucieczce, lecz o gwałtownym oporze i zgładzeniu nadleśniczego. Nim jednak z flintami byli gotowi, pokazał się za Rossą leśniczy. Rabuś skoczył za gruby świerk i z ukrycia chciał wystrzelić do leśniczego; jednak nim przyłożył flintę do głowy, zagrzmiał z prawej strony strzał, który Rossę położył na ziemię.

W tej chwili z wszystkich stron zbiegali się leśnicy i żandarmi na plac boju. Józef, wypaliwszy



I długim nożem dobił zwierzynę...

na nadleśniczego, uchwycił broń za lufę i nią uderzając na wszystkie strony, chciał się przedrzeć do lasu. Tylko minutę trwała walka, bo oficer żandarmów przeszył go swoją szpadą.

* * *

Dnia następnego garnęło się mnóstwo ludu do powiatowego miasta; przed sądem panuje nadzwyczajny ruch, bo dziś przed przysięgłymi ma stanąć ks. Walenty, aby usłyszeć wyrok ostateczny.

W celi swej klęczy nieszczęśliwy kapłan, modląc się za przykładem Zbawiciela: Ojcze, jeżeli można odbierz ten kielich odemnie, jednak nie moja, lecz Twoja niech się stanie wola!

Łoskot u drzwi i brzęk kluczy przerywa modlitwę; wchodzi dozorca i ogłasza więźniowi, że podług dawnego zwyczaju i szczególnego rozkazu sądu, musi jego ręce zamknąć w żelazo.

Zbladł ks. Walenty, lecz spojrzawszy w niebo, podaje spokojnie ręce, modląc się: Przyjmij Panie ofiarę moją!

Sala sądowa tak przepełniona widzami, że dwaj dozorcy ledwie mogą przeprowadzić więźnia za kratę; na rozkaz prezydenta zdejmują kajdany z rąk oskarżonego.

Oczy wszystkich zwracają się na kapłana, dziwiąc się spokojności, z którą odpowiada na wstępne pytania.

Woźny zwoływał świadków, lecz między nimi nie było Rossy. Jeden z publiczności oznajmił sądowi, że Rossa wczorajszego dnia został zastrzelony przez żandarma.

Prokurator żądał, aby sąd odroczono, aż urzędową wiadomość o śmierci Rossy odbierze, lecz cofnął swój wniosek, gdy prezydent zauważył, że zeznanie Rossy, na które złożył przysięgę, może być odczytane.

Prokurator powstał i w długiej mowie udowadniał swe oskarżenie przeciw proboszczowi ks. Walentemu z Molin o łupiestwo na publicznej drodze i o zabójstwo Branda z Lent. Zdolny mówca umiał

tak dobitnie dowieść zbrodni, że najmniejsza nie zachodziła wątpliwość, iż przysięgli ks. Walentego uznają winnym łupiestwa i zabójstwa, tem więcej, gdy oskarżony nie miał żadnego świadka po swej stronie i tylko na Boga Wszystkowiedzącego się odwoływał.

Gdy już przysięgli się wybierali do pobocznej sali, aby w tajnej naradzie na winę lub niewinność oskarżonego się zgodzić, powstał w przedsionku głośny hałas, z którego odznaczały się wykrzyki:

— Puśćcie nas! ustąpcie! — przychodzimy z ważną sprawą, tyczącą się ks. Walentego!

Lud ustępuje, a w drzwiach pokazują się: oficer żandarmów, nadleśniczy, żandarmi i leśniczy.

— Przepraszam Prześwietny Sąd! — odzywa się oficer, — że bez wezwania się głoszę i przerywam posiedzenie; przynoszę ważne wiadomości, tyczące się zabójstwa Branda!

Przysięgli wracają na swe miejsce, a prezydent rozkazuje:

— Pan oficer może mówić; słuchamy!

— Prześwietny Sądzie! Wczoraj byłem z czterema żandarmami w lasach po Łysą Górą, aby czatować na rabczyków wraz z strażą leśniczą; uczyniłem to na wezwanie pana nadleśniczego, który mi był doniósł, że podług pewnej wiadomości tegoż wieczora spodziewa się zdybania rabczyków na gorącym uczynku. Na śćmiewku ujrzeliśmy Rossę, wójta z Lagen i Józefa Witka, zakradających się na tak zwaną Długą Łąkę. Za pół godziny strzelił Witek do jelenia i położył go a przystąpiwszy do niego, począł go rozpłatywać. Gdy obecny pan nadleśniczy zbliżał się do Witka, ukryty w gęstwinie Rossa wypalił do nadleśniczego, lecz kula przeszyła i zerwała tylko kapelusz jego, nie zraniwszy jego osoby. Zbiegli się ukryci w lesie leśnicy i żandarmi; rabczycy stawiali opór, lecz zostali ranieni. Rossa ugodziła kula w szyję, ja zaś przeszyłem szpadą Witka!

Gdy oficer na chwilkę przerwał swoje opowiadanie, rzekł przewodniczący:

— Opowiadanie Pana nie stoi w żadnym związku z sprawą ks. Walentego.

— Owszem, jak zaraz opowiem prześwietnemu Sądowi. Józef Witek, widząc bowiem śmierć przed sobą, wyznał przed nami wszystkimi, że ranę odniesioną, uważa za widoczną i sprawiedliwą karę Bożą. — Bóg mnie karze za dwojaką zbrodnię! — mówił do nas Witek — bo ja zabiłem Branda pod Czarną Skałą i odebrałem mu 4.000 franków, które nosił z sobą w skórzanym pugilaresie. Ks. Walenty jest najniewinniejszym człowiekiem, a to przedewszystkiem gryzie moje sumienie, że milczałem, kiedy najszlachetniejszego dobrodzieja mojego uwięzili i podobno na śmierć osądzą. Śpieszcie się do sądu i ratujcie niewinnego. Szukajcie pod jałowcem, który stoi nad źródłem pod Czarną Skałą; tam znajdziecie skórzany pugilares i 500 franków, które przed chciwemi oczyma Rosy aż dotąd ukrywałem!

— Czy sam popełniłeś zbrodnię? — zapytałem umierającego, a on na to: Rossa mnie zwiódł i namówił, podszeptując mi, że Brand nosi przy sobie 20—30.000 franków. On był ze mną, lecz ja strzeliłem do Branda i złupiłem go. Schowałem 500 franków, a resztę podzieliliśmy między siebie!

— Czy mówisz szczerą prawdę? — zapytałem Witka, a on odpowiedział: Za chwilę stanę przed Sędzią sprawiedliwym, i przy Jego świętem Imieniu przysięgam, że prawdę mówię!

Krew rzuciła się ustami i nosem i przerwała dalszą mowę Witka. Jeszcze raz się odezwał chrapliwym głosem: Przeproście ks. Walentego i błagajcie go o przebaczenie zbrodni mojej, aby i Bóg był dla mnie miłosiernym!

Nowy upływ krwi zakończył życie jego. Poszliśmy pod Czarną Skałę i tam pod jałowcem znaleźliśmy pugilares z 500 frankami, jako też kilku listami i świadectwem, które to papiery świadczą, że pugilares był własnością Branda.

Z temi słowy złożył oficer pugilares na stole sądowym.

Nieopisany ruch powstał w sali sądowej; podczas opowiadania panowało najgłębsze milczenie, nawet tchu nie byłbyś usłyszał. Lecz gdy oficer skończył swój raport, wszyscy słuchacze garnęli się do kapłana za kratkę, wynurzając swe życzenia; nawet przeciwnicy podzielali chwilowy zapał.

Na znak dzwonkiem dany przez prezydenta, uciszyło się:

— Żądam, aby sąd przesłuchał nowych świadków!

Nadleśniczy, leśnicy i żandarmi potwierdzili przysięgą zeznanie oficera, który jeszcze opowiadał o Rossie, że tenże do niczego się nie przyznał i bluźniąc przeciw Bogu i ludziom, skonał.

Na wniosek prokuratora ogłosił prezydent ks. Walentemu, że jest wolny, ubolewając nad długiem więzieniem, które niewinnie cierpiał.

A ksiądz Walenty? do głębi serca wzruszony, upadł na kolana, modląc się: Chwała i dziękczynienie Bogu sprawiedliwemu, który niszczy zdradzieckie siecie niesprawiedliwych, a ufającym Jemu podaje ojcowską rękę, ratując ich z każdego nieszczęścia. Imię Jego niech będzie błogosławione od narodu do narodu, bo sprawiedliwość Jego trwa na wieki wieków. Amen.

— Amen! Amen! — wtórowali wszyscy obecni, nawet tacy, którzy od dawnych lat o Bogu i modlitwie zapomnieli.

KONIEC.



Przyjaźń.

Razem idą... przez życia opary mgliste
Jako dwa światła... jako jedno słońce...
Myśli i serca — jedno — żywe i ogniste —
Oczy płomienne — iskrzą zapału gorejące...

Dwie osoby — jedno serca bicie...
Dwie dusze — jedno kojarzą westchnienie...
Jedno pragnienie zrodziło się o świcie
Przyjaźni naszej — spędzić duszy cienie!

Burza się wzmaga... dmą wichry srogie,
I wyje straszna rzeczywistość światem...
Wśród tej zadumy gwarnej serca drogie
Sobie rosną i kwitną świeżym bławatem!

Orle myśli nasze, harde nasze ciała
Łamią chmur gromy świętem przymierzem.
I już słyszę: trąbka Zwycięstwa zagrała —
Bóg nas wysłuchał... nakrył swem puklerzem.

— — — — — — — — — — — — — —

Pod harmonji świętym dachem,
Przyjaźń żyje czysta;
Żadnym nigdy nie drgnie strachem —
Cnotą cnót swych błyska!

Kto przyjaźni serce żywi
W piersi gorejącej;
Niechaj idzie, gdzie szczęśliwi
W myśli noszą słońce!

L. Kuboszek.

Korzyści i wady sportu.

Pojęcie sportu jako środka ku tężyźnie fizycznej zostało ostatniemi czasy zupełnie wypaczone. Widzimy w tym kierunku ciekawe zjawisko. Sport obecny nie jest zabawą młodzieży, nie rekreacją dla dorosłych, ale poprostu rzemiosłem i zawodem. Twierdzenie to spotka się może z silną krytyką i opozycją. Nie zmieni to jednak samego faktu. Bo proszę trochę pomyśleć i sięgnąć wstecz... Nikt nie zaprzeczy, że zniknęły niemal zupełnie wolne i swobodne zabawy młodzieży, jak dowolne koziołkowanie, uganianie się bezplanowo po ścieżkach i polanach z pełną kaskadą dziecięcej wesołości. Któż widzi dzisiaj chwytanie obręczy wiklinowych na szpady, wycięte własnym przemysłem z patyka, kto widzi „wojsko“ z gotowemi karabinami („gwerami“), wesołą „ciuciubabkę“ lub „chowanego“, albo „kotka i myszkę“, w których to zabawach nawet dorośli brali udział... Kto widzi dzisiaj tak popularną grę w „palestrę i pliski“? To była swoboda dziecięca i raj młodzieńczy, harmonja współżycia ze starszymi. A te bałwany śniegowe, a te skoki przez rowy, a ta sztuka pływania w „żabiej“ wodzie i te tysiączne wolne żarty tak miłe sercu dziatwy i każdego człowieka. Upadł przemysł młodzieńczy fabrykacji własnych zabawek, strugania szabli i karabinów, bąków, klapaczy, rechotek, tarcz i hełmów, dzid i łuków, pasów i szczudeł, zaginął humor a z nim zdrowie i prawdziwa młodość.

A dzisiaj, ot pożal się Boże! Obserwujemy usystematyzowanie sportu, potworzenie rozlicznych drużyn z programową działalnością, regulaminami i kodeksami, które zdławiły młodość, a nawet cel: wyrąbiania fizycznej tężyzny! Każdy z tych systematycznych sportów jest przecież jednostronnym i jednokierunkowym. Należenie do któregokolwiek z nich wyrabia w członkach, chęć mistrzostwa, zaś ta chęć przewyższa często siły fizyczne, stając się dla zdrowia szkodliwą, a w dalszych skutkach nawet moralnie niebezpieczną... Młodzieńczy zapał ku osiągnięciu mistrzostwa jest zwykle tak silny, że odrzuca wszystko inne od siebie, wszelkie inne gry i zabawy tracą wartość, a nawet zdobywanie wiedzy i nauki staje się bezpotrzebnym balastem.

Otóż mamy już gotowy zawód i rzemiosło, które bądź co bądź jest płytkie i dla młodzieży zgubne. Nam nie wolno naśladować bezmyślnie obcych! W krajach miljarderów starano się zatrudnić umysł młodzieńczy banalnościami, nie wymagającemi umysłowej pracy i kiełkującą w młodzieży orjentację w zasadach demokratycznego współżycia oddalić na drugi plan. Trudniej było powiedzieć otwarcie, że naród trzeba trzymać w ciemnocie, by nie mógł się orjentować dość sprawnie w szalbierstwach polityczno-społeczno-gospodarczych. Stworzono więc środek, któryby mógł zaabsorbować najzupełniej czas, w dalszej konsekwencji u narodów. Usystematyzowanie więc sportu jest rzeczą tak intelektualnie jak i fizycznie zgubną!

Przypatrzmy się dzisiejszej młodzieży. Czy dostrzeżemy w niej dziecięcą młodość? Nie, nigdy! Są to przeważnie młodzi starcy o bezbarwnych twarzach, z ociężałym chodem, dychawiczni, ze wzrokiem wszechznajomości życia, a równocześnie ze zgnębieniem moralnem. Czyż nie lepiej widzieć w młodzieży omorusanych wiarusów, aniżeli niedorosłe powagi? Wypędzajmy młodzież na trawę, niech sobie bryka, niech każda wierzba będzie im warsztatem, każdy strumyk, basenem, a każdy piasek czy nawet błotko, kobiercem. Młodość nie znosi szablonu w grach i zabawach, więc trzeba jej dać swobodę, a starsi niech się również bawią z młodzieżą i żyją jej życiem, a możemy być pewni, że Ojczyźnie naszej zostawimy godną Słowian spuściznę.

(Ergo)

Poradnik gospodarczy.

Co robić, aby kury niosły jaja w zimie?

Kury najmniej niosą jaj w zimie, kiedy te są najdroższe i najwięcej poszukiwane. Aby produkcja jaj w zimie była dobra i aby kury dostarczały jaj możliwie dużo, musimy im dostarczyć przedewszystkiem pokarmów odpowiednią ilość, które nietylko mają zaspokoić głód kury oraz służyć do ogrzania ciała, ale także mają dostarczyć materjału do wytworzenia jaj. Do wytworzenia więc tych składników niezbędne są pokarmy bogate, zarówno w tłuszcz, jak i białko. Ziarno, ziemniaki, buraki są bardzo dobrą paszą, dodatek wapna, mączki mięsnej także podniesie wydajność kur i o to też dbać należy. Ale, aby kury niosły, trzeba także dbać o to, aby w gospodarstwie mieć kury nośne, jak Minorki, włoskie, zielononóżki i t. p., i trzeba się starać o nie. Obok żywienia należy dbać o stajnię, aby była ciepła, niezbyt gorąca i zimna, czyścić ją starannie, aby robactwo nie nękało kur, oraz dać kurom możliwie jak najwięcej ruchu, aby przy silnem żywieniu nie opasały się, co niekorzystnie wpływa na nośność; przy takich staraniach kury znacznie lepiej będą nieść, niż dzisiaj, gdy pozostawione same sobie siedzą gdzieś w zimnych szopach wśród robactwa, nękającego go. Gdy starania nasze będą większe, to i wydajność kur będzie większą, nie będziemy narzekać na kury, że tylko zjadają dużo ziarna, a nie niosą się.

Pielęgnowanie koni roboczych.

Należy koniom nawet w czasie najpilniejszych robót pozostawiać dostateczny czas do nasycenia się. Karmienie południowe musi bezwarunkowo trwać dwie godziny. W tym czasie należy koniom zdjąć uprząż, oczyścić je z kurzu i potu. Starsze konie potrzebują dłuższego czasu do nakarmienia, niż młode; dobrze jest także dawać koniom starym, chociażby tylko w czasie karmienia południowego nie cały, lecz pomiażdżony owies. Podczas kiedy w zimie siano może być częściowo zastąpione słomą, to w czasie roboczym i podczas żniwa, należy je dawać koniom koniecznie, bo tylko z żołądkiem pełnym dobrego siana może koń skutecznie pracować. Każdego wieczora należy koniom obmyć starannie kopyta i nogi, niemniej oczy i uszy. Roboty te nie wymagają wcale dużo czasu, a skoro raz spróbujemy to zrobić, sprawi nam odmienne od poprzedniego zachowanie się koni prawdziwą przyjemność.

Ochwat u koni.

Ochwat jest to przypływ krwi do przednich części kopyt, najczęściej u nóg przednich. Zdarza się on po forsownym biegu, po nakarmieniu suchym owsem, żytem i napojeniu zimną wodą zgrzanego konia.

Koń ochwacony zaczyna przestępować z nogi na nogę, prawie raptownie nie może chodzić, prze-

dnie nogi wystawia naprzód, zaś tylne podsuwa pod siebie; w wypadkach ciężkich, pod rogiem kopyta zbiera się ropa i spada róg kopyta. Wrazie niewyleczenia ochwatu podeszwa staje się płaską, a nawet wypukłą i koń staje się niezdatny do pracy. Leczenie wymaga natychmiastowej porady lekarza weterynarji, który zastosuje odpowiednie zastrzyki. Przed przybyciem lekarza stosować na kopyta zimne okłady.

KRONIKA.

Od Administracji. Do dzisiejszego numeru „Roli" dołączamy czeki dla wszystkich naszych Prenumeratorów.

Poświęcenie budowy koleji Kraków-Miechów. W ubiegłym tygodniu odbyło się w Prądniku Czerwonym koło Krakowa uroczyste poświęcenie budowy kolei Kraków - Miechów w obecności ministra komunikacji inż. Kühna. Aktu poświęcenia dokonał arcybiskup książę Adam Sapieha. Budowa tej kolei została już rozpoczęta i doprowadzona z Krakowa do Prądnika Czerwonego. Cała linja wraz z budynkami stacyjnymi ma być wykończona w przeciągu dwóch lat. Będzie to zarazem najkrótsze połączenie Krakowa z Warszawą.

Wyjazd ministra Zaleskiego do Londynu. W ubiegłym tygodniu bawił w Londynie polski minister spraw zagranicznych August Zaleski. Omówił on z angielskim ministrem spraw zagranicznych różne sprawy polityczne, a przedewszystkiem sprawę rozbrojenia, oraz wzrost wpływów Hitlera w Niemczech, co grozi wielkiem niebezpieczeństwem nietylko Polsce i Francji, ale również i całej Europie. Do konferencyj tych przywiązują tak gazety polskie, jak i francuskie oraz angielskie wielkie znaczenie.

Tragiczna śmierć kolejarza. W Tuchowie koło Tarnowa na stacji kolejowej w czasie pełnienia służby funkcjonarjusz P. K. P., Wiktor Wrona, uderzył się o słup żelazny latarni, wskutek czego dostał się pod koła będącego w ruchu pociągu, doznając zgruchotania kręgosłupa. Przewieziony do szpitala zmarł.

Aresztowanie wójta. Duże wrażenie w powiecie jarosławskim wywołało aresztowanie wójta gminy Tuchla, Piotra Bułata. Stało się to wskutek doniesienia Wydziału powiatowego w Jarosławiu po przeprowadzonej lustracji w gminie Tuchla. Aresztowany wójt stoi pod zarzutem sprzeniewierzenia znacznych sum z funduszów gminnych. Bułata osadzono w więzieniu przemyskiem.

Wyrok na mordercę. W sądzie przemyskim toczyła się rozprawa przeciw Bolesławowi Kurkowskiemu, właścicielowi autobusu z Jaworowa, oskarżonemu o zbrodnię skrytobójczego morderstwa na osobie Salomona Diamanda, również właściciela autobusu w Jaworowie, dokonanego z zemsty konkurencyjnej. Po przeprowadzonej rozprawie sąd wymierzył Kurkowskiemu karę trzy i pół roku więzienia, obostrzonego twardem łożem i postem raz w roku.

Tragiczne samobójstwo naczelnika. Leon Dudzik, naczelnik urzędu pocztowego w Mostach Wielkich, zajechał do hotelu przy al. Legjonów we Lwowie i tam wystrzałem z rewolweru w prawą skroń odebrał sobie życie. Zawezwany lekarz miejski Dr Chwalibogowski stwierdził już tylko śmierć i polecił zwłoki odstawić do Instytutu medycyny sądowej. Ś. p. Dudzik pozostawił żonę i czworo dzieci. Najstarszy syn, który służy w wojsku jako ochotnik liczy 18 lat. Zmarły liczył 46 lat. Od dwudziestu lat kierował urzędem pocztowym w Mostach Wielkich i cieszył się wielkiem poważaniem. Piastował też szereg godności. Był prezesem „Strzelca", radnym miasta, radnym Wydziału powiatowego, członkiem Rady szkolnej i t. p. Na stole w hotelu śp. Dudzik pozostawił dwa listy. Jeden do rodziny, drugi do policji. Z treści tych listów wynika, że Dudzik popełnił samobójstwo na tle intryg i waśni z pewnemi osobistościami w Mostach Wielkich, z któremi stykał się na polu politycznem i społecznem.

Samobójstwo studenta. We Lwowie w zakładzie kąpielowym przeciął sobie żyłę nożem Marjan Albricht, student wyższej szkoły handlowej. Na krzyk samobójcy o pomoc służba wyważyła drzwi a lekarz opatrzył go i przewiózł do szpitala.

Krwawa tragedja. W Częstochowie w mieszkaniu Stefana Trzepiórki, byłego sędziego a obecnie adwokata, Marja Smotruchówna zastrzeliła z rewolweru Trzepiórkę, poczem sama popełniła samobójstwo. Powodem tej krwawej tragedji była odmowa ze strony adwokata poślubienia dziewczyny.

Tajemnicze zniknięcie dziewcząt. W Piotrkowie wydaliły się z domu przed kilku dniami Janina Szczuka i Zofja Broniarczyk i wszelki ślad po nich zaginął.

Napad bandytów na probostwo. Na mieszkanie proboszcza parafji św. Florjana w Warszawie na Pradze, ks. prałata Poszkrobka, dokonano napadu bandyckiego. Późną nocą służący księdza, Józef Lewicki, usłyszał podejrzane szmery od strony drzwi frontowych. Podszedł do drzwi i przekonał się, że wiercono w drzwiach otwory. Lewicki zawezwał natychmiast swego pomocnika Feliksa Pojedynka i wraz z nim zaalarmował wszystkich domowników. Kiedy Pojedynek wyszedł na schody, natknął się na jakiegoś opryszka. Schwytał go za szyję i zrzucił ze schodów do piwnicy. Opryszek powrócił jednak z powrotem i rozpoczął z Pojedynkiem walkę, zadając mu trzy rany nożem. Ubezwładniwszy służącego, rzezimieszek zbiegł. Jak stwierdziła policja, rabusie po przystawionej drabinie dostali się na I-sze piętro klatki schodowej, wybili szybę i wtargnęli do wnętrza domu. Przechodząc przez korytarz, przecięli sznur aparatu telefonicznego i zaczęli wiercić otwory w drzwiach do mieszkania ks. prałata. Zarządzona obława policyjna nie dała dotychczas wyniku, jakkolwiek zatrzymano kilku podejrzanych mężczyzn. Nadmienić trzeba, że już przed trzema tygodniami do mieszkania ks. Poszkrobka usiłowała wtargnąć szajka bandytów. Spłoszył ich jednak pies księdza, który w kilka dni potem został otruty.

Runięcie mostu na Drwęcy. Pod niezwykłym naporem wody i kry na Drwęcy runęła środkowa część nowowybudowanego mostu betonowego w Toruniu. Ofiar w ludziach nie było. Most ten, mający 15 m. długości, miał być w tych dniach oddany do użytku.

Zrabowanie autobusu. Na szosie Czersk Chojnice trzej bracia Peplińscy z Czerska, oraz ich szwagier Bronka dokonali śmiałej kradzieży autobusu. Napastnicy wyrzucili szofera z autobusu, właściciela zaś autobusu Repińskiego obezwładnili, poczem zrabowali autobus. Natychmiast podjęte śledztwo doprowadziło do schwytania sprawców kradzieży, których osadzono w więzieniu w Chojnicach.

Zawód miłosny. W Nakle Gerhard Herold i Marja Kolbówna, straciwszy nadzieję zawarcia związku małżeńskiego z powodu przeszkód ze strony rodziny, postanowili odebrać sobie życie. W lasku koło Nakła Herold przeciął swej narzeczonej lewą rękę, poczem sam wpakował sobie nóż głęboko w przeguby obu rąk. Herold stracił wkrótce przytomność a Kolbówna poczęła wzywać pomocy. Przewieziono ich do szpitala. Stan Herolda z powodu wielkiej utraty krwi jest bardzo groźny.

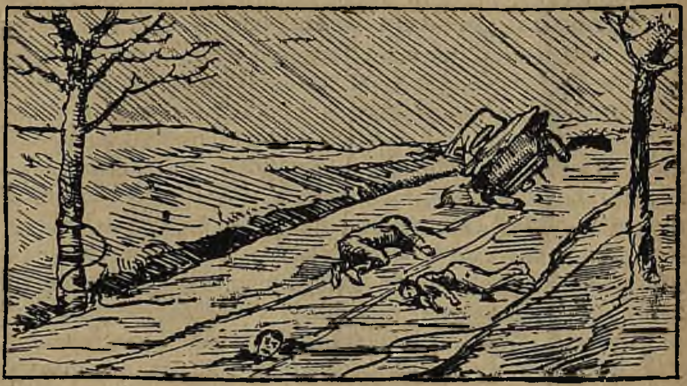
Tragiczny koniec miłosnej wyprawy. W majątku Izabella, na Wileńszczyźnie, dzierżawionym przez p. Chrochowskiego usłyszano o godz. 3 w nocy przeraźliwe wołanie o pomoc, dochodzące z pokoju służącej. P. Chrochowski, chwyciwszy rewolwer, wbiegł do kuchni i oddał szereg strzałów w kierunku mężczyzny, usiłującego wydostać się oknem. Jedna z kul trafiła uciekającego w brzuch. Okazało się, że rannym był parobek tego majątku, 22-letni Władysław Wójcik, który chciał nieproszony złożyć nocną wizytę służącej. W drodze do szpitala Wójcik zmarł.

Plaga wilków na kresach. Z powodu przedwczesnej zimy wilki dały już znać o sobie wsi kresowej. W roku bieżącym rozpoczęły one bardzo wcześnie ataki na osiedla ludzkie. Skoro tylko ziemię ubielił pierwszy śnieg, na Wileńszczyźnie — zwłaszcza w powiecie wilejskim i mołodeczańskim (specjalnie w miejscowościach pogranicznych) — pojawiły się wilki, włóczące się po drogach i w okolicach wsi wielkiemi gromadami. Gajowi twierdzą, że w ostatnich dniach liczne gromady wilków przyszły z Białorusi sowieckiej, gdzie im bardzo trudno o zdobycz. Wieśniacy zabezpieczają obory przed napadami i organizują obronę. Mimo tych zabezpieczeń, w kilku wsiach pow. wilejskiego wilki porwały kilkanaście cieląt i kur, oraz zadusiły kilka krów. Włościanie przy pomocy żołnierzy K. O. P. urządzają miejscowe obławy w celu przepłoszenia szkodników. Nie wiele to jednakże pomaga. Jest rzeczą charakterystyczną, że wilki zdradzają wyraźną ochotę „emigracji“ na zachód. Gajowi twierdzą, że oznacza to surową zimę.

Powrót z tamtego świata. Budowniczy Stefan Trcka z Berna Morawskiego brał udział w wielkiej wojnie i w ostatnim jej roku został przysypany w kawernie na froncie włoskim ze 140 towarzyszami. Po bitwie odkopano tylko czterech ludzi. Trzech z nich zmarło wkrótce w szpitalu. Jedynie Trcka został przy życiu, ale utracił mowę i pamięć. Przewieziono go do szpitala klasztornego w Weissenbach w Bawarji, gdzie dotąd stale przebywał pod opieką lekarzy. W ten sposób upłynęło 13 lat. Dopiero niedawno stan chorego poprawił się tak dalece, że przypomniał sobie przeszłość i umożliwił ustalenie swojej nieznanej identyczności. — W Czechach figurowało jego nazwisko przez pewien czas na liście zaginionych, a wkońcu dostało się oficjalnie pomiędzy zmarłych. Po odkryciu personaljów zarząd szpitala odesłał zmartwychwstałego do rodzinnego Berna. Nieoczekiwany powrót z tamtego świata wywołał sensację. W międzyczasie żona Trcki przeniosła się w zaświaty, a trzy córki do domów swoich mężów. Majątek wskutek uznania ojca zmarłym uległ podziałowi pomiędzy dzieci. Trcka był przed wojną właścicielem wielu domów i znacznego majątku. Po swoich niezwykłych przygodach musi wziąć się do uporządkowania stosunków majątkowych, które nie czekały na jego decyzję i ułożyły się według nowych warunków.

Śmierć dziadka na grobie dziecka. Gdy onegdaj wczesnym rankiem pewna pani znalazła się na cmentarzu centralnym w Wiedniu, spostrzegła przy pewnym świeżym — jak to można było odrazu poznać — grobie starszego człowieka, klęczącego i pogrążonego w straszliwej rozpaczy. Z mimowolnem zaciekawieniem skierowała owa pani uwagę na nieszczęśnika. Nagle stało się coś, co wprost zamroziło krew w jej żyłach — czemu jednak nie mogła przeszkodzić wskutek szybkości wypadku. Oto ów nieznajomy podniósł się nagle i, wyjąwszy z kieszeni płaszcza zwyczajny nóż kuchenny, wbił go sobie w lewą pierś, mierząc widocznie w serce. Pani owa zaczęła przeraźliwie krzyczeć, czem zwabiła służbę cmentarną. Pospieszono natychmiast z pomocą samobójcy, lecz ten uderzył się celnie w serce i wskutek wewnętrznego krwotoku śmierć nastąpiła niemal momentalnie. Okazało się, że samobójcą był 62-letni kupiec Wilhelm Pohl, właściciel sklepu. Był on człowiekiem zamożnym, posiadał własną realność, a sklep jego prosperował doskonale. Przyczynę samobójstwa ustalono niebawem. Oto Pohl opiekował się od kilku lat swym wnuczkiem 4 letnim Henrysiem, którego w tragiczny sposób osierocili rodzice. Pohl ogromnie był do wnuczka swego przywiązany i kochał go nad życie. Tymczasem niedawno dziecko zaziębiło się, dostało zapalenia płuc i po kilkutygodniowej chorobie umarło. Pohl olbrzymie sumy wydawał na lekarzy, starając się ocalić wnuczka. A gdy to się okazało niemożliwem, w duszy jego zapanowała straszliwa, czarna noc — życie straciło dlań wszelką wartość. Pewnego dnia rano wybrał się zatem na cmentarz i na grobie ukochanego wnuczka odebrał sobie życie. Wstrząsające to zdarzenie rozeszło się w Wiedniu szerokiem echem, wywołując silne wrażenie.

Zderzenie pociągu z autem. Straszna katastrofa kolejowa wydarzyła się na przejeździe kolejowym w miejscowości Sowac w Jugosławji.



Auto którym kierował sam właściciel, pewien fabrykant jugosłowiański, z powodu niezamknięcia zapory przez dyżurującego kolejarza, wjechało na tor kolejowy, gdy właśnie niespodziewanie nadjechał pociąg. Skutki zderzenia były straszne. Wszyscy jadący, wyrzuceni z auta siłą uderzenia pociągu, ponieśli śmierć na miejscu. Sprawcę katastrofy, kolejarza, który zapomniał zamknąć szlaban, aresztowano.

Wysadzenie cerkwi w powietrze. Władze sowieckie wysadziły w powietrze przy pomocy sześciu ładunków prochu słynną cerkiew Zbawiciela w Moskwie. Wybuch był tak silny, że przylegające do gmachu cerkiewnego ulice zasypane były odpryskami kamieni. Detonację słyszano w całej Moskwie. Przed wysadzeniem w powietrze tej najsłynniejszej świątyni rosyjskiej władze zdjęły z kopuł cerkwi złoto. Wysadzenie w powietrze cerkwi zostało sfilmowane specjalnie dla zagranicy. Na placu cerkiewnym będzie zbudowany obecnie wielki gmach na odbywanie wszechrosyjskich zjazdów sowieckich. Bawiący w Berlinie na wygnaniu biskup prawosławny Tychon podjął akcję celem uniemożliwienia ewentualnego wyświetlania filmu, przedstawiającego niszczenie cerkwi Zbawiciela. Jest to nowy wandalizm bezbożników bolszewickich.

Związek rozwiedzionych kobiet. W Berlinie powstał przed kilku tygodniami „Państwowy związek ochrony rozwiedzionych kobiet“. Jest to drugi tego rodzaju związek w Europie. Jeden istnieje już w Budapeszcie. Ma on na celu opiekę nad rozwiedzioną kobietą, która w ciągu procesu i po procesie znajduje się

w położeniu znacznie gorszem niż rozwiedziony mężczyzna. Kobieta, wytrącona z normalnego życia małżeńskiego, nie będąca ani panną ani mężatką, natrafia na całe góry trudności: najpierw proces rozwodowy, potem zdobycie odpowiedniego utrzymania i stanowiska towarzyskiego, troska o dzieci, a nawet o rodzinę. Związek ma na celu pomagać rozwiedzionym kobietom w pokonywaniu tych trudności, a jednocześnie służyć poradą prawną tym, które pragną się rozwieść. Związek liczy już około 100 członkiń. Należą do związku same kobiety i tylko jeden mężczyzna: jest nim adwokat i syndyk związku. Wkładka wynosi 1 markę miesięcznie. Kto może należeć do związku? Nietylko kobiety zamężne i rozwódki, ale również panny, które nie wyszły dotąd zamąż. Mogą do niego należeć wszystkie kobiety zamężne już w dniu zawarcia ślubu, a nawet wymiany pierścionków zaręczynowych. Trzeba przyznać, że jest to związek ultranowoczesny, obejmujący swoją opieką prawną wszystkie kobiety, którym „grozi“ lub przestało grozić małżeństwo Ma to jednak swoje dobre strony. Jak spokojna musi być kobieta, która już w czasach narzeczeństwa należy do Związku rozwódek i nie potrzebuje troszczyć się o przyszłość! Bo porada prawna i wszelka opieka jest bezpłatna. Ważne to dla procesu rozwodowego.

Straszna zbrodnia szaleńca. W małej miejscowości francuskiej Pouy de Touges koło Tuluzy rozegrał się onegdaj krwawy dramat. Chory umysłowo właściciel dóbr Lahille zranił ciężko w przystępie szału 6 osób, strzelając do nich z karabinu. Potem popełnił samobójstwo. Powodem okropnego czynu była sprzeczka, jaką wszczął Lahille z swoim kuzynem i jego żoną. W czasie sprzeczki oddał dwa strzały do swoich kuzynów, potem zabarykadował się w swojem mieszkaniu i przez całą noc stawiał zacięty opór oblęgającym go żandarmom. Kiedy po 12-godzinnej daremnej walce żandarmi otrzymali posiłki z Tuluzy i zamierzali przypuścić generalny atak do mieszkania furjata, usłyszeli strzał, po którym nastąpiła długa cisza. Lahille pozbawił się życia wystrzałem z rewolweru. W czasie walki zginęły 4 osoby.

Straszna zbrodnia w lesie. Ludność pogranicznych miejscowości Baals i Posterholt w Holandji jest wzburzona okropną zbrodnią, popełnioną niedawno. — Trzej synowie z chłopskich rodzin Kerstenów i Wehrensów padli ofiarą morderstwa w lesie sosnowym swoich rodziców, ciągnącym się wzdłuż drogi do Posterholt. Zwłoki wszystkich trzech zagrzebano w głębokiej jamie. Młodzi ci chłopcy, w wieku od 20 do 30 lat, udali się przed kilkoma dniami do lasu, aby skontrolować pułapki na dzikiego zwierza. Z wycieczki tej nie wrócili. Na drugi dzień zaczęto przeszukiwać las. Pod ogromną kopicą igieł sosnowych znaleziono jamę głębokości dwóch metrów. W jamie tej leżały, jedne na drugich, zwłoki wszystkich zaginionych synów. Ciała ich były podziurawione strzałami rewolwerowymi i karabinowymi. Lekarz zbadał zwłoki i stwierdził, że leżący na spodzie młody człowiek został pochowany żywcem i udusił się w jamie. Aresztowano natychmiast leśniczego z Posterholt. Zachowanie się jego budzi podejrzenie. Jak przypuszczają, nienawidził on trzech synów chłopskich za to, że wyłapywali dzikie zwierzęta, które przechodziły z jego rewiru do lasu chłopskiego. Lecz ludność nie wierzy, aby leśniczy był mordercą. Przypuszcza raczej, że chodzi tutaj o akt zemsty ze strony przemytników. Nie zostało również stwierdzone, czy trzej młodzieńcy udali się do lasu w celu kontrolowania pułapek. Las będzie powtórnie przeszukany. Przed kilkoma tygodniami zginął również w podobny sposób pewien młody człowiek z Diergaade. Widziano go po raz ostatni na skraju lasu, w którym ponieśli obecnie straszną śmierć trzej synowie chłopscy. Ludność okolicznych miejscowości ogarnęła wielka panika.

Bójka wielożeńców. Policja londyńska została zaalarmowana niesłychaną awanturą, która wynikła pod czas zgromadzenia sekty mormonów w Kensington pod Londynem. Zgromadzenie było wielce burzliwe i skończyło się krzykiem i bójką, które zlikwidowała policja. Przewodniczył niejaki Widstoe z Salt Lake City, stolicy tej sekty w Ameryce. Widstoe jest jednym z 12 apostołów mormońskich. Żona jego w wywiadzie z jednym z dziennikarzy oświadczyła, że wprawdzie wielożeństwo wśród mormonów od r. 1904 jest zniesione i zakazane pod karą ekskomuniki, że jednak małżeństwa dawne były o wiele szczęśliwsze i że nawet dziś wiele kobiet mormońskich zgodziłoby się na powrót dawnych warunków życia. Pani Widstoe jest wnuczką mormona Brighama Younga, który znany był z tego, że miał 18 żon. Pani Widstoe twierdzi, że każda kobieta wolałaby mieć jedną ośmnastą część dobrego męża, niż posiadać na własność niepodzielną łobuza, niedbającego ani o nią, ani o jej dzieci. Wśród dawnych mormonów rozwody były nieznane, a opuszczenie rodziny przez ojca i żywiciela nie zdarzało się nigdy. Teraz i do Salt Lake City zakradło się zepsucie i zwyczaje „pogańskiej“ Europy i Ameryki. Przy sposobności awantury mormońskiej okazało się, że w Anglji mieszka kilka tysięcy członków tej sekty, której ojczyzną jest Ameryka.

Piekarz z trumną. Piekarz londyński Gordon dostarczał przez dłuższy czas pieczywa pewnemu fabrykantowi trumien, mimo że w ostatnim czasie stosunki finansowe fabrykanta znajdowały się w opłakanym stanie i rachunku za pieczywo nie regulował. Wkońcu ogłoszono dozór sądowy nad majątkiem fabrykanta i piekarz, chcąc ratować choć część swych pieniędzy, wziął w swe posiadanie kilka trumien. Miał z niemi kłopot, bo nie wiedział co z niemi zrobić. A ponieważ był bardzo oszczędny i nie lubił, gdy mu coś nie przynosiło korzyści, wpadł na dziwaczny pomysł i zamienił trumnę dziecięcą na... kuferek. Razu pewnego miał wyjechać. Nie namyślając się więc długo, spakował w trumnę cały swój bagaż i puścił się w podróż. Trumnę umieścił w siatce wagonu, co wywołało oburzenie między pasażerami, którzy protestowali przeciwko tak niezwykłemu transportowi nieboszczyków. A kiedy spostrzegli na dobitek, że Gordon wyjmuje z trumny zapas jedzenia, byli zgorszeni i przejęci wstrętem do towarzysza podróży, co okazywali w sposób dość wyraźny i dobitny. Wkońcu musiał interwenjować konduktor, który, nie wiedząc, jakie zająć stanowisko, zgodził się na dalszą podróż piekarza z trumną. Pasażerowie, nie godząc się na decyzję konduktora, opuścili wagon z protestem. Na następnym przystanku powtórzyła się ta sama historja. Pewien ksiądz, zauważywszy trumnę, pociągnął za hamulec i pociąg stanął w szczerem polu. Podróżujący zażądali gwałtownie, aby piekarz wysiadł wraz ze swym dziwacznym bagażem. Po ostrej wymianie zdań musiał piekarz rad nie rad opuścić przedział. Wziął trumnę na plecy i powędrował do najbliższego miasta odległego o kilka kilometrów. Po drodze spotykał ludzi, zdążających do kościoła. Współczuli biedakowi, dźwigającemu „zmarłe dziecko“ i pytali się troskliwie, czemu niesie trumnę na plecach. A kiedy zmiarkowali, że piekarz milczy uporczywie, posądzili go o nieczystą historję, odbyli sąd nad nim, pobili dotkliwie i kazali aresztować. Na policji spisano protokół. Po powrocie udał się Gordon do adwokata i wniósł skargę przeciwko pastorowi, motywując tem, że nikt niema prawa decydować o tem, jakie winien posiadać kuferki. Ale sąd odrzucił skargę, a sędzia

oświadczył, że postępek piekarza był nietaktowny i uwłaczał tradycjom religijnym. Pochwalił również współtowarzyszy podróży Gordona, którzy zaprotestowali energicznie przeciwko podobnemu wybrykowi.

RZECZY CIEKAWE.

Obrzędy i zwyczaje weselne.

Nietylko mężczyźni żonaci i kobiety zamężne wiedzą dobrze, jak się odbywa ślub w kościele katolickim, ale wiedzą o tem również i ci, którzy dopiero kiedyś będą mieli wstąpić w związki małżeńskie. Ale nie wszyscy wiedzą o tem, że podczas ślubu kościelnego większość obrzędów jest tylko ceremonją, bez której ostatecznie obejśćby się mogło, a i tak ślub byłby ważny. Do ważności małżeństwa wobec Boga wystarcza bowiem, jeżeli dwoje ludzi wolnych oświadczy swojemu duszpasterzowi, że oni się pobierają ze sobą, jako małżeństwo. A nawet gdyby i księdza nie było, to gdy dwoje ludzi oświadczy sobie, że się odtąd uważają, jako mąż i żona, to już małżeństwo jest zawarte. Dlatego też kapłan zawsze pyta się przed ślubem nowożeńców, czy nie ślubowali komu innemu wiary małżeńskiej? Tak pan młody, jak i panna młoda odpowiada zwykle bez zająknienia: Nie! A ileż razy jest to kłamstwem, mogą wiedzieć tylko ci, którzy takie fałszywe oświadczenia składają.



Ślub więc właściwy jest to oświadczenie dwojga wolnych ludzi, że pobierają się ze sobą, jako małżeństwo. Reszta to jest tylko ceremonja i ceremonja ta u wyznawców nietylko różnych religij, ale nawet u wyznawców jednej wiary może być różna. I bywa też różna, podczas gdy ceremonje dwóch różnych religij bywają często bardzo do siebie podobne. Gdyby naprzykład katolik poszedł na ślub do świątyni żydów postępowych, to spostrzegłby, że ślub żydowski w tej świątyni, a ślub w kościele katolickim niewiele się od siebie różnią. Natomiast ślub u żydów niepostępowych jest zupełnie inny, nie mówiąc już o obrzędach poprzedzających sam ślub i następujących po nim. Opisywanie tych obrzędów zadalekoby nas zaprowadziło, podajemy więc tylko na zakończenie obrazek, przedstawiający jedną z scen ślubu żydowskiego, jakie często po naszych wioskach i miasteczkach zaobserwować możemy.

Ogniotrwały papier.

W Ameryce wynaleziono niedawno środek chemiczny, przy pomocy którego można zwykły papier przekształcić w ogniotrwały. Osiąga się to przez zanurzenie papieru w wynalezionym preparacie, bądź przez dodanie pewnej ilości owego preparatu do masy papierowej podczas fabrykacji. Tym samym środkiem można impregnować drzewo, które staje się odporne na działanie ognia. Skład chemiczny nowego środka utrzymywany jest w tajemnicy.

Próby wykazały skuteczność wynalazku i w najbliższym czasie ma się rozpocząć realizacja na wielką skalę.

Dla wypróbowania tego środka kładziono na arkusz papieru rozżarzoną głownię, przyczem papier nie przypalił się nawet. Kawałek drzewa, włożony do rozpalonego do białości pieca na przeciąg paru sekund, pozostawał całkowicie nienaruszony.

Nowy ten wynalazek może oddać wielkie usługi w budownictwie, gdyż konstrukcje drewniane mogłyby stać się może tak samo odporne na działanie ognia jak budowle kamienne.

Z historji zwierciadła.

Od najdawniejszych czasów lustro było wrogiem i zarazem przyjacielem kobiet. Lustro — najdawniejszy sprzęt, należący do przyborów kokieterji kobiecej, znajdowało się już na pomnikach egipskich, jeszcze przed Mojżeszem. W starożytności robiono je z polerowanego metalu: mieszaniny cyny i miedzi, później wyrabiano je ze srebra. Kobiety hebrajskie posługiwały się lustrami ze spiżu. Kobiety greckie przeglądały się w złotych zwierciadłach. Najpiękniejsze lustra posiadały Rzymianki. Były to istne arcydzieła sztuki, za które płacono bajeczne sumy.

Zwierciadła, któremi posługiwały się Rzymianki z pierwszej ery chrześcijaństwa, były małe, okrągłe lub owalne, zaopatrzone rączką do trzymania. Miały jednak tę wielką niedogodność, że podlegały oksydacji, t. j. czerniały, trzeba więc było często je polerować. Pomimo to, rzadko kiedy wyraźnie i wiernie odbijały obraz. Lustra ówczesne składały się z płyty srebrnej, spoczywającej na złotej płycie, otoczonej drogocennemi kamieniami i każde było zaopatrzone w misternie rzeźbioną rączkę.

Lustra ze szkła weszły w użycie dopiero w dwunastym wieku; wyrabiano je w Wenecji. We Francji podobno były już znane w 1250 roku.

Nowe te lustra noszące nazwę „szkła lustrzanego“, były pokrywane ołowianą lub cynową płytą: o wiele później pokrywano je mieszaniną cyny i merkurjuszu. Dopiero w piętnastym wieku pojawiły się prawdziwe lustra, jakie posiadamy obecnie.

W siedmnastym wieku inkrustowano lustra w wachlarze — w epoce tej zbytek był tak daleko posunięty, iż wywołał protest Kościoła. Poza temi przyborami kobiecej kokieterji, istniały jeszcze tak zwane lustra magiczne, którym przypisywano różne wpływy i własności.

Istnieją liczne zdania na temat lustra, jako przedmiotu kokieterji i zabobonów. Najpopularniejszym przesądem niemal we wszystkich krajach jest przekonanie, iż stłuczone lustro przynosi nieszczęście, które grozi w ciągu siedmiu lat. Przesąd ten można wytłumaczyć wysoką ceną, którą kiedyś przedstawiało zwierciadło. Wówczas zbite lustro było dużą stratą materjalną. Dzisiaj lustra należą do przedmiotów codziennego i powszechnego użytku, a są wyrabiane ze szkła pokrytego rtęcią.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Na konkurs „Roli" otrzymaliśmy w dalszym ciągu następujące utwory: „Skradziony chłopczyk", „Anioł śmierci", „O wychowaniu młodzieży żeńskiej", „Pisany kamień", „Różaniec cierpień", „Serduszko", „Lusterko z Krakowa", „Uśmiech demona", „Przesądy", „Noszenie niemowląt", „Ubranie ludzi pierwotnych", „Środki płatnicze u dzikich". — **Czesław Skwarczyński** w S.: „Ugodę małżeńską" z drobnemi poprawkami zamieścimy. — **Franciszek Chorzępa** w N.: Zagadki, o ile miejsce pozwoli, zamieścimy. — **Józef Serafin** w M.: Wszystkie nadesłane utwory dobre, ale ze względu na bardzo wielki materjał do numeru świątecznego nie możemy jeszcze dziś powiedzieć, które artykuły będziemy mogli zamieścić. — **Franciszek J. Tryszczyła** w K.: Za przesyłkę serdecznie dziękujemy; wszystko pójdzie. — **Helena Latawcówna** w Z.: Chroniczny brak miejsca w „Roli" sprawia, że nawet bardzo dobre wiersze zalegają czas długi w tece. Żądany adres brzmi: Warszawa, ul. Złota 8. — **Marja Byczkówna** w J.: Wierszyki dobre, ale niewiadomo, jak będzie z miejscem. Adres p. Marji W.: Rzeszów, Elektrownia. Drugiego adresu podać nie możemy, gdyż pan ten często zmienia miejsce pobytu, a już dawno od niego nie mieliśmy żadnej wiadomości. — **Stanisław Golachowski:** „Teściowa" tak, jak w życiu, taksamo i w poezji nie udała się. — **Czesław Wiechowski** w S.: W liście wspomina Pan o wysyłce dwóch utworów, a tymczasem w kopercie był tylko jeden. Humoreski p. t. „Obce języki" nie było. — **Józef Kunda:** Niektóre z nadesłanych prac zamieścimy. „Czyje dzieci?", „Fatalne spotkanie" niezupełnei przyzwoite. — **Michał Kompys:** Z nadesłanych utworów skorzystamy. — **Rom-Ort** w W.: Wierszyk bardzo słaby; nie wydrukujemy. — **Władysław Cudzich** w K.: Wierszyk miły i zupełnie poprawnie napisany. — **Wojciech Lorenc** w Ł.: Utworów konkursowych obecnie nie czytamy, więc nie możemy nic powiedzieć, który z nich dobry, a który nie. Termin konkursu upływa z dniem 31 grudnia b. r. i dopiero wówczas wszystkie nadesłane prace przeczytamy i ocenimy. — **„Laur"** w K.: Gdyby Pan z zastanowieniem się swoje wierszyki przeczytał, to poznałby Pan w nich te liczne usterki, jakie posiadają. Oto np. pierwsza zwrotka „Myśli": „Rwą się myśli do czynu! Daleko hen w przestrzeniach... A soczysty liść wawrzynu Jest w mych marzeniach". Jak może być soczysty liść wawrzynu w marzeniach, trudno nam pojąć. — **Józef Górecki** w K.: Myśl Pańska niezła, ale to zajmowałoby bardzo dużo czasu, którego my nie mamy. Do tego trzebaby trzymać osobnego współpracownika, a na taki „luksus" wydawca sobie pozwolić nie może. — **Michał Mycoń** w L.: Komunizm jest to utopja, która w całem tego słowa znaczeniu nigdy w życie wprowadzić się nie da. Według zasad komunizmu wszyscy powinni posiadać wspólny majątek, to znaczy, że nic nie powinno być osobistą własnością, ale własnością ogółu. A czyż tak jest w Rosji? Tam przywódcy dążą, aby mienie ogółu stało się własnością państwa, lecz sami gromadzą majątki i umieszczają je w bankach zagranicznych. — **Janina Kaliska** w Z.: O hodowli kwiatów tak wazonikowych, jak i ogrodowych będziemy pisali w naszym poradniku gospodarczym w przyszłym roku. Słusznie Pani pisze, że nie powinno być na wsi ani jednego domu, któregoby nie otaczały grzędy pięknych kwiatów. — **Franciszek Zawiła** w B.: Czeki właśnie do dzisiejszego numeru wszystkim prenumeratorom załączamy. Na jednym czeku można przesłać i kilka prenumerat, wypisując na odwrotnej stronie czeku adresy wszystkich przesyłających prenumeratę. Za obiecanki dziękujemy i prosimy o pamięć. — **Władysław Gębala** w W.: Za przysługę serdecznie dziękujemy, jak również i Maciek. Że „Rola" zyskuje tam coraz więcej prenumeratorów, zawdzięczamy to Panu. Załączamy serdeczne pozdrowienia.

Zagadki do nagrody.

1. Uzupełnianka.

(Ułożył L. Wołek z Rz.).

1	M	A						
2		M	A					
3			M	A				
4				M	A			
5					M	A		
6						M	A	
7							M	A

1. Port francuski. 2. Rzeka amerykańska. 3 Miasto polskie. 4 Wicher na Saharze. 5. Koń tatarski (2 przypadek.) 6. Epopcja hinduska (wstecz). 7. Widok.

2. Łamigłówka.

(Ułożył Józef Kawalec z T.).

. . . . o . ie . . ię . o . . i . o . . a . y . a . . . a . . a . a . a . ie.

Wstawić w miejsce kropek spółgłoski i odczytać powszechnie znane zdanie.

3. Szarady.

I.

(Ułożył Wojciech Lorenc z Ł.).

Ułożyłem wam szaradę, lecz łatwą do [rozwiązania,
Gdy ją wszyscy odgadniecie, tylko trzeba [złożyć zdania;
Więc pomyślcie każdy trochę, gdyż piąte [z ostatka,
Oznaczy drogę żelazną, rzecz więc bardzo [gładka.
Złóżcie drugie, trzecie, czwarte „Roli",
Otrzymacie ładną książkę, w której są do- [woli
Wiersze, proza, powieści ciekawe,
Maciek Bzdura opowiada wesołą zabawę.
Znów pół pierwsza to nuta wam znana,
A całością każdy być powinien,
Gdyż „Rola" bardzo tania.

II.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

Trzecia! powiem coś nowego,
Jak Maciek oberwał drugiego, trzeciego
Od Kaśki. Gdy razu pewnego w konkury
Wybrał się do niej. Natenczas ona pierw- [szy i wtóry,
Jak całość bez przerwy wciąż językiem [miele,
Aż Maciuś dał drapaka, jak spłoszone ciele.

4. Kwadraty magiczne.

(Ułożył Antoni Sordyl z Z.).

I.

Zebranie.
Miesiąc żydowski.
Figura z kart.
Napój.

II.

Część człowieka.
Jabłko.
Pożar.
Imię żydowskie.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 25 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 49 „Roli": 1. Uzupełnianka: Armata, kastan, komoda, kromka, Raudal, Afryka. 2. Szarady: I. Cytryna. II. Gorlice. III. Jagody. 3. Łamigłówka: Adam Asnyk. 4. Krzyż magiczny: Banany-malina-kalina-Kanada.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Jadwiga Lorencówna z Ł., Józef Górecki z K., Wojciech Lorenc z Ł., Jan Stypa z W., Karol Michalski z U.

Nagrody wylosowali pp.: Jadwiga Lorencówna z Ł. i Karol Michalski z U.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

— Prawda, proszę taty, że tato i mama żyją bardzo szczęśliwie?

— Albo co?

— Ot, tak się pytam... bo mama mówi mi zawsze: Daj ci Boże głupiego męża, a będziesz tak szczęśliwą, jak ja, moje dziecko.

Pokrewny zawód.

— Pan szuka posady do pakowania śledzi. A czy ma pan jaką praktykę?

— Owszem, byłem dotąd konduktorem w autobusie.

Dodatki osobno.

W pewnej restauracji podano gościowi zupę, w której znalazł kilka much. Oburzony tem niechlujstwem, woła kelnera i mówi:

— Zamówiłem zupę bez much; muchy trzeba było dać na osobnym talerzyku — jakbym chciał, tobym sobie dosypał!

Giełda płodów rolniczych

z dnia 15 grudnia b. r.

Pszenica	26·00—26·50	Słoma długa	7·50—8·(0
Żyto .	26·50—26·75	Ziemniaki stoł.	5·25—5·50
Owies . .	25·00—25·50	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	22·00—23·00		
Fasola biała	28·00—30·00	Mąka żytnia	43·00—43·50
Groch zwyk.	28·00—30·00	Mąka pszen.	46·00—47·00
Siano słodk.	12·00—13·00	Otręby pszen.	15·00—15·50
Łubin żółty	21·00—22·00	Otręby żytnie	16·00—16·50
Koniczpastew.	15·00—17·00	Mąka czerw.	19·00—20·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 15 grudnia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·65 do 0·85 zł.	Jałowniki	od 0·50 do 0·75 zł.
Woły . .	od 0·70 do 0·83 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·17 zł
Krowy .	od 0·45 do 0·68 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogacizna	1·10 do 1·30 zł.	Nierogacizna bitej wagi	od 1·35 do 1·65

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.